V-41826/28

ŚWIAT

1 zł

Nr. 41
14 PAŹDZIERNIKA 1933 R.

GUSTAW GWOZDECKI „TANCERKA"

TREŚĆ:

Polska Akademja Literatury

●

Ślub P. Prezydenta Rzeczypospolitej

●

Na Kresach Kolonizacji polskiej w Paranie

●

Miasto bez kobiet (Jeden dzień w Lizbonie)

●

Narty, poziomki i rydze (Zakopane we wrześniu)

●

Tydzień „Świata"
Literatura. Teatr. Malarstwo. Radjo

ŁÓDZKO-WARSZAWSKIE TOW. TRANSPORTOWE

WARSZAWA
ul. Sienna 94, tel. 712-80 i 605-92

ŁÓDŹ,
ul. Dowborczyków 1, tel. 206-90

Codzienny przewóz towarów samochodami do Łodzi i z Łodzi.
Zwózka towarów i przewóz maszyn taborem konnym.
Przeprowadzki, ekspedycja kolejowa, magazynowanie towarów i mebli.

Co otrzymuje prenumerator „ŚWIATA" za 5 zł. miesięcznie?

1) Co tydzień zeszyt „Świata" zawierający zawsze ciekawą i aktualną treść oraz obfite ilustracje;

2) Co tydzień kupon zniżkowy (50%) do b. teatrów miejskich w Warszawie;

3) Raz na miesiąc duży tom interesującej powieści.

Prenumerata miesięczna z odnoszeniem do domu: zł. 5.50, na prowincji zł. 6.—.

Cena pojedyńczego numeru wynosi w całej Polsce zł. 1.—.

300 MILJONÓW ZAMIAST 120-tu

Alchemik Dunikowski do ministra Starzyńskiego:
„Jak ty to robisz?
I skąd ty to masz?"

Rys. J. Zaruba („Cyrulik Warszawski")

„ŚWIAT" rozchodzi się na całą Polskę: od Bałtyku po Karpaty i od Wileńszczyzny po Śląsk. A więc ogłoszenie w „Świecie" dociera do wszystkich

Uważam lotnictwo za najwygodniejszy środek komunikacyjny i będę latał wiele razy nadarzy się ku temu okazja.

Wacław Sieroszewski

Wytworne Salony fryzjerskie

KOMOL

Polecają na sezon wiosenny WIECZNE ONDULACJE wykonane na nowoczesnych aparatach przez specjalistów z PARYŻA gwarancja roczna

Ostatnie kreacje mody wykonują pojaliści z Paryża

„KOMOL"

PLAC ZBAWICIELA róg NOWOWIEJSKIEJ 7.

TEL. 8-41-67

Gabinet Kosmetyczny

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE

POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, SZPITALNA 12

ROK XXVIII • NR. 41 • DNIA 14-go PAŹDZIERNIKA 1933 ROKU

Modne kapelusze

Odsłaniają niemal całą główkę

Tem ważniejszem staje się staranna fryzura i dokładne mycie włosów

Piękny, jedwabisty połysk i puszystość nadaje częste mycie

w SHAMPOO
w PROSZKU
M. MALINOWSKIEGO

preparowanem specjalnie dla włosów jasnych i ciemnych

Apteka, ul. Nowy Świat 31
Laboratorjum Chem. Farm.
Aptekl, ul. Chmielna 4

PRZYBORY PODRÓŻNE
GALANTERJA SKÓRZANA
J. KUCZMIEROWSKI
108 MARSZAŁKOWSKA 108

JIM GUMA DO ŻUCIA E. WEDEL

NIESTRAWNOŚĆ. OBSTRUKCJĘ. ZGAGĘ USUWA SÓL OWOCOWA KARPOSAL KARPIŃSKIEGO

Polska Akademja Literatury

Urzędowe komunikaty przyniosły wiadomość, że rada ministrów uchwaliła powołać do życia Akademję Literatury. Dekret w tej mierze ma się ukazać w najbliższych dniach.

Zadania i cele tej instytucji określa uchwała w sposób następujący:

„Pragnąc zapewnić literaturze polskiej należne stanowisko w życiu narodu, odpowiednie do jej wielkich zasług w podtrzymywaniu ducha narodowego w czasach walki o niepodległość, oraz wywyższyć ją jako narzędzie, poprzez które wypowiada się dusza narodu w najbardziej idealnych pierwiastkach, jak również umożliwić pisarzom polskim oddziaływanie na społeczeństwo w kierunku wzmożenia poczucia państwowości polskiej oraz współpracę z rządem nad budową świetnej przyszłości Państwa Polskiego, ustanawia się Polską Akademję Literatury".

Zadaniem Polskiej Akademji Literatury będzie tedy, jak objaśnia komunikat, opieka nad piśmiennictwem narodowem oraz praca nad jego rozwojem. W szczególności Akademja: 1) reprezentować będzie polskie piśmiennictwo artystyczne, 2) występować z inicjatywą poczynań, zdążających do podniesienia poziomu literatury polskiej i opieki nad literatami, 3) współdziałać z rządem we wszystkich jego poczynaniach dla dobra kultury i sztuki polskiej, 4) wypowiadać opinję na życzenie władz państwowych w sprawach dotyczących języka, literatury i kultury polskiej, 5) przyznawać nagrody literackie oraz stypendja dla literatów, 6) podejmować wszelkiego rodzaju wydawnictwa, poświęcone rozwojowi literatury polskiej, 7) wyróżniać utwory literackie i decydować o przyznaniu im kwalifikacji: „odznaczone przez Polską Akademję Literatury".

Akademja składać się będzie z 15 członków dożywotnich. Pierwszych siedmiu członków mianują wspólnem zarządzeniem prezes Rady Ministrów i minister W. R. i O. P.

Tych pierwszych siedmiu akademików ustali i przedstawi kandydatów do pozostałych ośmiu foteli. Nominacje następować będą zawsze w tym samym trybie.

Utworzona ma być specjalna odznaka dla osób zasłużonych w dziedzinie literatury ojczystej. Odznaka ta, na wniosek Akademji, udzielana będzie przez ministra W. R. i O. P.

. . . . . .

W ten sposób uwieńczone zostają realnym skutkiem zabiegi, czynione przez szersze koła literackie nieomal od czasu wskrzeszenia Państwa. W jakiej mierze jednak nowa instytucja odpowie nadziejom, które pisarstwo polskie łączyło z tym projektem, okaże dopiero przyszłość.

Polska Akademja Literatury tylko wtedy spełni należycie swe zadanie, jeśli zdobędzie odpowiedni autorytet moralny. Ten autorytet moralny dać jej może przedewszystkiem pełna niezależność. Akademja Literatury powinna być instytucją, służącą wyższym i stałym interesom Piękna i Kultury. Narodowej, zatem — winna być odseparowaną od wszelkiej polityki, która służy interesom chwili.

Ten ustrój przyszłej Akademji, jaki w skrótach podają komunikaty, wydaje się natomiast dość uza-

leżnionym od każdorazowego rządu. Ponieważ członkowie Akademji wybierani mają być na całe życie, zaś zmiany rządu mogą następować w pewnych okresach nierzadko, i skład Akademji może wskutek tego nie odpowiadać interesom danego rządu, obawiać się należy komplikacji, które nie powinny zakłócać toku prac tak poważnej instytucji.

Dalecy jesteśmy od twierdzenia, aby Akademja Literatury miała być wieżą z kości słoniowej, odciętą od bieżących zagadnień życia. Wcale nie. Byłoby tylko pożądanem, aby służyła wyłącznie interesom piśmiennictwa narodowego, nie zaś — interesom stronnictw, posiadających w danej chwili władzę.

Polska Akademja Literatury winna zdobyć powagę, ufność i szacunek w całem społeczeństwie, bez względu na jego podziały partyjne.

Wśród pisarstwa polskiego autorytet Akademji uzależniony będzie również w niemałej mierze od środków materjalnych, jakiemi od samego początku będzie rozporządzać. Akademja powstaje w dobie wielkiego przesilenia finansowego, które w szczególnie bolesny sposób dotknęło naszych pisarzy. Najwybitniejsi z nich nawet nie mogą znaleść wydawców dla swych prac. Czasopisma literackie zamierają z wycieńczenia. Powstają wprawdzie nowe organy subwencjonowane, nie wypełniają one jednak zgoła luk, wywołanych przez powszechne zubożenie i depresję. Jeśli w tych warunkach Akademja rozpocznie swą działalność z bardzo szczupłemi środkami i w nazbyt skromnym zakresie, nadzieje, jakie do niej przywiązywano, mogą szybko się rozchwiać i nawet ustąpić miejsca rozczarowaniu. Tego lepiej byłoby uniknąć, chociażby nawet trzeba było termin ukonstytuowania się Akademji odroczyć.

Nikt z nas oczywiście nie myśli o zbytkownych pałacach Mazarin'a i o wielkich dotacjach, niewspółmiernych z naszem położeniem. Akademja jednak musi mieć zapewnione takie środki, któreby pozwoliły jej odrazu rozwinąć aktywną działalność.

Oczywiście, autorytet moralny Akademji zależeć będzie w najwyższym stopniu od składu osobistego jej pierwszego gremium. Niestety! Koryfeusze ostatniej doby: Żeromski, Reymont, Kasprowicz, Weyssenhoff, Przybyszewski — nie doczekali się narodzin tej Almae Matris, literatury ojczystej. Kandydatami na pierwszych akademików winni być pisarze największego talentu i największych zasług, — ich indywidualna kultura, poziom umysłowy i charakter winny być brane uważnie w rachubę, bo Akademja musi być dla całego świata literackiego Polski i dla całego narodu wzorem światła, honoru i dobrych obyczajów.

Nie może być również instytucją o charakterze muzealnym, — musi mieć łączność z życiem, musi być kuźnicą idei, najwyższą, zrównoważoną ekspozyturą tych wszystkich procesów ewolucyjnych, jakie dokonywują się w piśmiennictwie.

Literatura polska przechodzi ciężki kryzys wewnętrzny. Długa wojna i twardy przebieg odbudowy państwa nie sprzyjają rozwojowi piśmiennictwa i sztuki. Nagła zmiana warunków bytowania i zainteresowań, gruntowne przeobrażenia w życiu społecznem i obyczajowem, raptowne przyspieszenie procesu demokratyzacyjnego, — oto wyjątkowa sytuacja, w jakiej znaleźli się pisarze doby przedwojennej,—i ci, młodsi, którzy w ostatnim dziesiątku lat poczęli borykać się z losem na polu literatury. Dorobek z czasów przedwojennych należy przeważnie do historji.

Państwo, tworząc życie na nowych podłożach, musi posiadać nowych bardów, nowych kierowników duchowych i umysłowych. Potrzeba nam nowej literatury, odpowiadającej nowym warunkom egzystencji.

Oby Polska Akademja Literatury, którą powołuje do życia p. Jędrzejewicz, w jednej osobie prezes Rady Ministrów i minister W. R. i O. P., a więc w sprawach tej instytucji sprawujący decydującą władzę, — oby Polska Akademja Literatury sprostała wielkim zadaniom, które ją czekają.

S. K.

OMIJANY KRAJ

(m.). Niedawno przejeżdżał przez Polskę, wracając z Moskwy, senator amerykański Mr. Raynolds. Zatrzymał się on w Warszawie od pociągu do pociągu. Ściśle przebył w stolicy naszej 55 minut. Zużytkował ten czas w ten sposób, że objechał taksówką główne ulice miasta... Warszawa podobała się bardzo Amerykaninowi.

— Gdybym wiedział, że Warszawa to takie piękne, nowoczesne miasto — oświadczył — uwzględniłbym ją w planie mej podróży i zatrzymałbym się dłużej. Szkoda, że wasi przedstawiciele, z którymi często stykałem się w Ameryce, — nie umieli mnie nakłonić do podróży do Polski. Bardzo teraz żałuję, bo widzę, że Polska — to piękny i ciekawy kraj... Za słabą wszakże macie turystyczną propagandę i dlatego cudzoziemcy są zupełnie nieuświadomieni o pięknościach i bogactwach narodowych Polski...

Słowa amerykańskiego działacza politycznego są wielce znamienne i winny zwrócić uwagę miarodajnych czynników. Istotnie bowiem Polska zupełnie jest pomijana przez znakomitych turystów, odwiedzających tłumnie Rosję.

Oto kilka charakterystycznych faktów: Towarzyszący sen. Raynoldsowi w Moskwie senator Macadoo, prezes partji demokratycznej i zięć zmarłego prezydenta Wilsona — w drodze powrotnej z Rosji leciał kilka godzin nad Polską i nie pomyślał o wylądowaniu na naszem terytorjum. Znakomity lotnik pułk. Lindbergh leciał do Rosji przez Estonję i tą samą drogą wracał, omijając Polskę.

W roku bieżącym przeszło 3 tysiące turystów amerykańskich przejechało tranzytem przez Polskę — do Rosji, nie zatrzymując się wcale. Tysiące cudzoziemców przejeżdżają przez Polskę z wizami tranzytowemi, nie pomyślawszy o tem, aby zapoznać się z tętnem życia Warszawy, z zabytkami Krakowa i Wilna, z pięknem Tatr i Pienin, z chlubą Polski niepodległej — Gdynią...

Nie trzeba tłomaczyć,—jak wielkie znaczenie miałby dla naszego kraju silniejszy ruch turystyczny — z zagranicy. Ci cudzoziemcy, którzy w Polsce zatrzymują się trochę dłużej, są zwykle niezmiernie zadowoleni i zainteresowani — np. lotnicy francuscy Coclos i Rossi. — Chodzi tylko o to, aby turystów zagranicznych przyciągnąć odpowiedniemi środkami propagandowemi.

ŚLUB P. PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ

P. Marja z Dobrzańskich Ignacowa Mościcka Fot. Dorys

Po uroczystości zaślubin w kaplicy Zamku Królewskiego w Warszawie P. Prezydent Rzeczypospolitej z małżonką wyjeżdża do Spały Fot. Pikiel

Na kresach kolonizacji polskiej w Paranie

(Z podróży p. marszałka Raczkiewicza do Ameryki Południowej)

W dorzeczu Ivahy w Paranie, w głębinach puszcz dziewiczych, na kresach kolonizacji polskiej w tym kraju, mieszka 20.000 Polaków. W odwiedziny do nich udał się w tym roku p. Marszałek Senatu Raczkiewicz.

W przeddzień wyruszenia w drogę nad Ivahy rozmawiałem na temat naszej podróży z p. Malanowskim, zamożnym osadnikiem, pochodzącym z tamtych okolic.

— Radzę się dobrze namyśleć przed wyruszeniem w drogę — mówił z ponurą miną. W lasach niedaleko Rezerwy włóczy się kilku zbójów, którzy przywędrowali tutaj z Santa Catharina. Mogą kogoś uszkodzić i będzie kłopot. Są dobrze uzbrojeni i z ladajakim pistoletem nie dacie im rady.

Zrobiło mi się mocno nieprzyjemnie. Malanowski mieszkał dwadzieścia kilka lat nad Ivahy, był pułkownikiem w brazylijskiej armji rewolucyjnej i próżnoby nas nie straszył.

— Nie możemy się cofnąć. Za wszelką cenę musimy dotrzeć do naszych osad pionierskich. Niech będzie, co chce!

— W takim razie musicie się dobrze uzbroić — ciągnął melancholijnym głosem Malanowski.

Zrobiliśmy, jak radził stary kolonista. Wyprawa nasza, złożona z ośmiu ludzi, zamieniła się w zbrojną drużynę. Generał Strzemiński ulokował się w pierwszym samochodzie z Winchester'em gotowym do strzału, wicekonsul, kpt. Cybulski, wsadził do futerału olbrzymi rewolwer bębenkowy, ja — jedyny w tem gronie szeregowiec rezerwy—oprócz rewolweru chwyciłem jakąś fuzję i wypatrywałem „wroga" na każdym zakręcie drogi. Rozlokowani w dwóch obszernych samochodach, pędziliśmy z początku przez stepy, poczem zagłębiliśmy się w lasy, gęstniejące w miarę zbliżania się do Ivahy. Pomimo naszej gotowości do walki, żadna nieprzyjazna istota nie napatoczyła się nam ani na równinach stepowych, ani też w leśnych manowcach. Spotykani po drodze caboclе [1]) nietylko nie wyciągali z za pasa olbrzymich, dwururkowych pistoletów, ale — przeciwnie — z wyszukaną uprzejmością uchylali kapeluszy i powtarzali, w zależności od pory dnia, *„Bom dia!"* lub *„Boa tarde!"*. Nikomu nie śniło się na nas napadać. Opowiadania Malanowskiego okazały się ponurą fantazją.

Puszcza dziewicza w dorzeczu Ivahy

Jak się później dowiedziałem, na Malanowskiego czyhał jeden caboclo, rzekomo skrzywdzony przezeń w czasie ostatniej rewolucji. Kilka razy strzelał już do naszego kolonisty i — jak mówią — prawdopodobnie zabije go, jeśli Malanowski go nie uprzedzi. Te perypetje, natury czysto osobistej, wpłynęły prawdopodobnie na pesymistyczną ocenę stanu bezpieczeństwa nad Ivahy ze strony naszego pułkownika.

Bandyci nie pojawili się, ale — mówiąc językiem Ollendorfa — koło północy lunął deszcz. Do najbliższego osiedla polskiego mieliśmy zaledwie kilkaset metrów, ale droga stała się zupełnie niemożliwa. Samochody ugrzęzły w błocie i pomimo wydatnej pomocy z naszej strony nie objawiały ochoty do dalszej jazdy.

— Bez łańcuchów nie ruszymy ani dziesięciu metrów — mruknął z desperacją jeden z naszych przewodników, p. inż. Makomaski.

— O, do djabła! — wykrzyknąłem ze złością. Nakładać łańcuchy na ulewie podzwrotnikowej! Przecież to pewne zaziębienie, a może i malarja.

Nikomu jednak nie uśmiechał się nocleg w niezbyt szczelnie zamknię-

[1]) Caboclo — półdziki mieszkaniec wnętrza Brazylji.

Na kolonji polskiej w Paranie

tym samochodzie, o pół kilometra od kolonji. Wyszliśmy z samochodów i wzięliśmy się do niewdzięcznej pracy. Za godzinę robota była skończona, ale wszyscy z „bladych twarzy" zmienili się w autentycznych, afrykańskich negrów.

Sapiąc, brzęcząc, stękając, z widocznemi objawami zmęczenia, dobrnęły wreszcie nasze samochody do najbliższego osiedla polskiego. Zupełnie jak w starym kraju, zaszczekały psy i z wyszczerzonemi zębami zaczęły oblegać nocnych gości. Odegnaliśmy je precz światłami reflektorów samochodowych.

Na nasze nawoływania wyszedł z chaty wysoki, barczysty mężczyzna z latarnią w dłoni i zaprosił grzecznie do siebie.

Zmoczeni, zmordowani dwustokilometrową drogą i katorżnemi robotami przy nakładaniu łańcuchów na koła samochodowe myśleliśmy, że otworzyły się przed nami wrota raju.

Jasno, ciepło, miło. Po krótkim posiłku rozlokowano nas w wygodnych łóżkach, zasłanych czystą pościelą.

Nazajutrz rano, pomimo chłodnej wichury i padającego kilkoma nawrotami deszczu, zwiedziłem szereg gospodarstw naszych osadników.

Wszyscy posiadają po 25 — 100 hektarów ziemi i prowadzą gospodarkę ekstensywną. Polega ona na tem, że kolonista karczuje podszycie na kawałku swej ziemi, z reguły pokrytej lasem, czeka, aż zrąbane drzewo wyschnie i wyschnięte pali. Wielkie drzewa nie spalają się lecz tylko osmalają i sterczą na „polu". Na uzyskanym w ten sposób wolnym terenie gospodarze sadzą kukurydzę, tytoń, trzcinę cukrową, bataty, pomarańcze, mandjokę; czasem zorzą kawałeczek

Postój w drodze do kolonij polskich nad Ivahy. Pośrodku p. marszałek Raczkiewicz

ziemi i zasieją pszenicę. Nawozów nie używają zupełnie — popiół użyźnił ziemię doskonale. Nawet pług jest w tych stronach rzadkością. Zastępuje go motyka. Po wyjałowieniu gleby, kolonista ugoruje ją i przystępuje do karczowania i palenia innego kawałka posiadanej puszczy. Skoro już wypali wszystko, wraca do najdawniej wyjałowionego kawałka, który zdążył już przez ten czas porosnąć nowym lasem czyli t. zw. *capoerą* i bierze go pod uprawę po raz drugi. Naturalnie gospodarka ekstensywna możliwa jest tylko przy posiadaniu większych szmatów ziemi. W okolicach Kurytyby osadnicy polscy gospodarzą prawie na sposób europejski — intensywnie.

W czasie wędrówki zmęczyłem się bardzo i poczułem silne pragnienie. Zapukałem do jednego z kolonistów i poprosiłem o wodę.

— Wody dobrej nie mam, biorę ją z mętnej rzeki, ale niech pan się napije soku z trzciny cukrowej. — Mówiąc to, podał mi potężny kawał świeżo urżniętej, grubej trzciny, i duży dzbanek i dodał: — Niech pan idzie do kieratu, który jest moją cukrownią i wytłoczy sobie trochę soku.

Zrobiłem tak, jak mówił osadnik, wprzęgłem się na chwilę do kieratu, wycisnąłem do dzbana z litr mlecznego, pienistego soku i z rozkoszą wychyliłem miarkę tego wysoce witaminowego płynu.

Kolonista opowiedział mi dużo ciekawych rzeczy o życiu nad Ivahy.

— Przyjechaliśmy tu przed dwudziestu dwoma laty z Lubelszczyzny. Z początku psia była nasza dola. Ze wszystkich stron lasy, bezdroża, niema pieniędzy, niema żywności, pomoc rządowa skąpa. Powoli jednak przełamaliśmy pierwsze trudności i dajemy sobie wcale nieźle radę. Dzisiaj powodzi nam się zupełnie dobrze. Podstawa naszego bytu — to świnie. Każdy stara się mieć ich jak najwięcej. Są gospodarze, którzy mają po sto i więcej świń. Skoro się nieco pod-

Wypalanie poręb na ziemiach kolonistów polskich nad Ivahy

Grupa członków „Junaka", organizacji młodzieży polskiej

pasą, gnamy je do Ponta Grossy i za pieniądze uzyskane ze sprzedaży kupujemy ubrania, narzędzia, broń, sól i inne artykuły, których sami nie potrafimy wyprodukować. Zresztą wszystko prawie mamy u siebie. Kukurydza i pszenica dają chleb powszedni, trzcina cukrowa i ule — cukier, miód i wosk. Ponadto mamy bez liku kur, indyków, plantujemy tytoń, pomarańcze, cytryny, mamy mandjokę i słodkie ziemniaki.

— A sekwestrator do was nie przychodzi? Ile płacicie z alkra (4 morgi) podatku?

— 300 rejsów rocznie...

Zdębiałem! 300 rejsów to tylko 15 groszy. Żyć nie umierać nad Ivahy.

— Najgorzej to było ze szkołą, — dorzucił kolonista. — Nikt nie chciał mieszkać tak daleko od miasta. Ostatnio jednak zapłaciliśmy trochę więcej i mamy nauczyciela. Mamy szkołę polską i wszyscy posyłamy do niej dzieci. Nie chcemy, aby wyrosły nam na dzików.

Przez kilka dni wędrowaliśmy po kolonji, korzystając z rzadkich przestanków między jedną a drugą ulewą. Plucha i zimne wichry nie dawały możności należytego ocenienia piękności oglądanych okolic. Aż wreszcie pękła ołowiana zasłona chmur i osada „Trzy Czuby" (Tres Bicos) ukazała się w całej swej krasie.

Leżała ona w podłużnem wgłębieniu, obramowanem gęstym, podzwrotnikowym lasem. Z drzew zwieszały się sznury ljan i girlandy kolorowego kwiecia. Położone na dnie kotliny chaty osadników polskich tonęły w sadach pomarańczowych, uginających się pod ciężarem złocistych owoców. Z rozbłękitnionego nieba lały się całe potoki promiennego ciepła.

Nagiąłem gałąź obwieszoną pomarańczami i zerwałem kilka soczystych owoców. Były wyśmienite, nieskończenie lepsze od sprzedawanych w Europie. Życie zaczęło malować mi się w coraz jaśniejszych kolorach.

— A może tak osiąść tu, na kresach kolonizacji polskiej w Paranie? Osiąść i hodować pomarańcze i trzcinę cukrową, zapomnieć o złości ludzkiej, brutalnej walce o byt, redukcjach, wojnach i rewolucjach. Wprawdzie i życie pioniera nie jest sielanką w stylu Bernardin'a de Saint Pierre'a. Trzeba ciężko pracować, tworzyć prawie z niczego, ale rezultaty są widoczne i sprawiają żywe zadowolenie.

Bohdan Teofil Lepecki

Kobieta—to inny świat

(Dyskusja w chwili „gdy kobieta doszła do pełni praw")

Artykuł p. Sokolicz Wroczyńskiego w ostatnich numerach „Świata" pod tytułem „Gdy kobieta doszła do pełni praw"... przedstawia w rzeczowych cyfrach stosunek zatrudnionych kobiet i mężczyzn w rozmaitych zawodach, wyciągając wniosek, że kobiety są groźną konkurencją dla mężczyzn, szczególnie na stanowiskach nauczycielskich i niższych urzędniczych. Omawiając pęd kobiet do zarobkowania, obawia się autor wszystkich znanych plag stąd płynących — jak obniżenie płac wobec tanich rąk, zanik życia domowego i t. d. Podkreśla przytem, że kobieta rzadko dochodzi do stanowisk kierowniczych, i dziwi się, że zdobywszy wszystkie prawa nie umie z nich korzystać, a nawet jeszcze o nie walczy na łamach pism specjalnie kobiecych.

Myślę, że ujęcie rozwoju sprawy kobiecej, jako dopędzanie zdobyczy męskich, naśladowanie ich i stwarzanie konkurencji — jest z gruntu fałszywe.

Kobieta nie jest rodzajem żeńskim od mężczyzny, trochę tylko słabszym. Kobieta to inny człowiek, inny świat, w niektórych dziedzinach równie niedostępny dla mężczyzny. jak chińczyk dla europejczyka.

Etap zdobycia równych praw z mężczyzną, to tylko zdobycie wspólnej platformy równości, na której się nowa praca i nowy podział ról musi zacząć.

Wejście kobiety w całą wielorakość życia współczesnego nie jest tylko faktem zwiększenia konkurencji w pracy i obniżenia płac. Jeśli kobieta swój pęd do samodzielności utrzyma — zmienić się musi wygląd społeczeństwa.

Mężczyzna, który dochodzi do wybitnych rezultatów w życiu — musi swemu zawodowi poświęcić nietylko godziny pracy, ale i godziny odpoczynku. Zajęcia jego decydują o tem, z jakimi ludźmi się spotyka, jaki dziennik czyta, w jakiej kawiarni bywa, z kim gra w brydża. Dom jest drobną komórką, z której wychodzi na świat ściśle związany z jego pracą.

Nie można sobie wyobrazić, żeby kobieta mogła na dłuższą metę połączyć cały kompleks wysiłków pracy zawodowej męskiej i jednocześnie mogła spełniać swoje przeznaczenie fizjologiczne — rodzić dzieci, wychowywać je, a obok tego jeszcze zajmować się domem, życiem towarzyskiem, swoją urodą.

To jest program ponad siły jednego człowieka.

Obecny stan sprawy kobiecej nie jest szczytem osiągnięcia pełni praw, — jest momentem wahania i szukania dróg. W dwu państwach o jaskrawych linjach rozwoju dwojako się sprawa kobieca zarysowała.

W Rosji Sowieckiej kobieta straciła dom, rozkosze wychowywania własnego dziecka, urok wypielęgnowanej kobiecości. — Zyskała prawo do pracy i obrony kraju na równi z mężczyzną i ważne prawo do brzydoty. Nie musi cieszyć oczu pana — swoją urodą. Może być tak jak on zmęczona i niełądna, a mimo to znajdzie przyjaciela.

Czy jest z tem szczęśliwa? Podobno nie.

W Niemczech hitlerowskich odebrano kobiecie prawo do samodzielnego życia. Rząd stara się dać jej męża, dzieci, kuchnie i zapełnienie życia wymierzonemi metrami małych trosk i radości.

Czy Niemka jest szczęśliwa? Napewno nie.

W państwach o łagodniejszych formach społecznych widzimy typ panny pracującej nieszczęśliwej, że nie stworzyła własnego domu, mężatki zarobkującej, która podołać nie może obowiązkom matki, żony i urzędniczki, mężatki niepracującej, która marzy o posadzie, żeby się uniezależnić finansowo od męża — i mały odsetek kobiet zadowolonych, którym zdrowie fizyczne i równowaga moralna pozwalają na łączenie ciężkich obowiązków mężatki, lub smutnej samotności panieńskiej — z pracą zawodową.

W Europie każda sytuacja kobiety, pomimo zdobycia pełni praw, jest dziś trudna. Orjentacja w tem, do czego należy je kierować, jaka droga najlepsza dla nich i dla społeczeństwa — niełatwa. Niech więc mają jaknajwięcej swoich pism, klubów, niech myślą i wybierają.

Zdobyte równouprawnienie — to cudzy dom, który trzeba przebudować i urządzić według własnych potrzeb, żeby można w nim żyć.

Janina Janicka

ŚWIĘTO JAZDY POLSKIEJ W KRAKOWIE

Dla uczczenia 250-ej rocznicy zwycięstwa rycerstwa polskiego pod Wiedniem i złożenia hołdu pamięci Jana III, który osobiście prowadził szarżę husarji, odbyła się dn. 6 b. m. w Krakowie rewja dwunastu pułków kawaleryjskich, dokonana przez p. Marszałka Piłsudskiego, ministra spraw wojskowych, w obecności P. Prezydenta Rzeczypospolitej, całego rządu, przedstawicieli armji cudzoziemskich, własnej naszej generalicji i niezliczonych tłumów. Rewja wypadła wspaniale, świadcząc raz jeszcze o doskonałości jazdy polskiej.

W krypcie Sobieskiego na Wawelu Marszałek Piłsudski składa hołd prochom Wielkiego Króla w obecności P. Prezydenta Rzeczypospolitej, mającego po prawej ręce premjera J. Jędrzejewicza, po lewej biskupa polowego Gawlinę

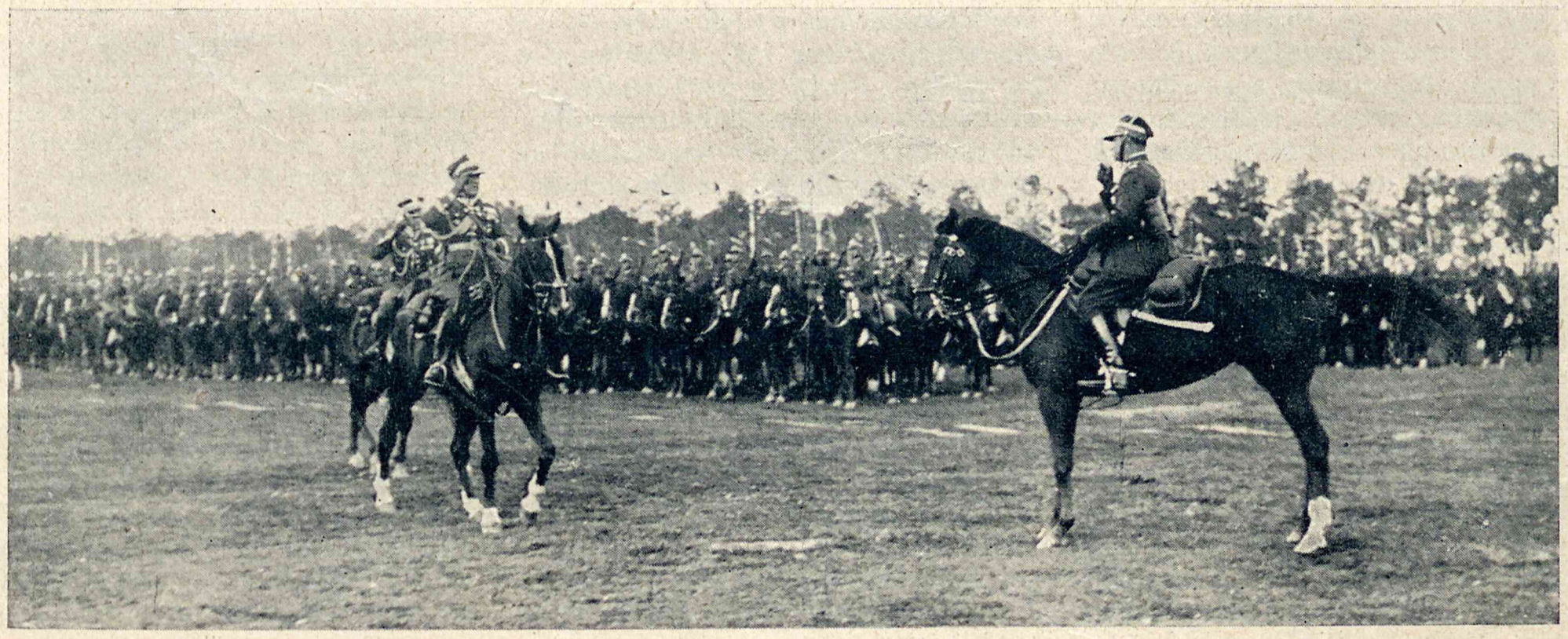

Na Błoniach krakowskich prowadzący defiladę gen. Orlicz Dreszer w towarzystwie adjutanta odbiera raport od dowódcy 10-go pułku Strzelców Konnych z Łańcuta Fot. „Światowid"

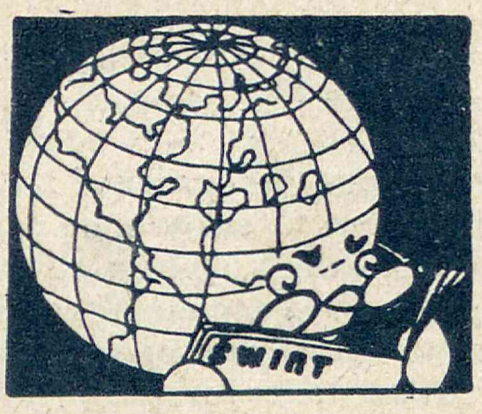

TYDZIEŃ ŚWIATA

W Krakowie

(J.) Po raz pierwszy od dłuższego czasu obaj najwyżsi dostojnicy państwowi, p. Prezydent Mościcki i p. Marszałek Piłsudski ukazali się publiczności razem. Tak bowiem układały się okoliczności, że z okazji rocznicy Niepodległości czy rocznicy Konstytucji 3 Maja defiladę przyjmował albo P. Prezydent albo p. Marszałek; na przedstawieniach galowych oglądaliśmy przeważnie P. Prezydenta, tak samo, jak na licznych akademjach i t. p.

P. Marszałek Piłsudski występował w Krakowie w roli pierwszego oficera armji polskiej i ściśle tej roli się trzymał. On pierwszy zjawił się na Błoniach; po objeździe wojsk zajął swe miejsce na małem, samotnem wzniesieniu i czekał, razem z całą zgromadzoną publicznością, na przyjazd P. Prezydenta.

Kiedy P. Prezydent zajął swe miejsce na głównej trybunie, p. Marszałek zasalutował ruchem ostrym, dziarskim. P. Prezydent odkrył głowę i schylił się. Armja powitała Rzeczpospolitą; pierwszy obywatel państwa skłonił się przed pierwszym żołnierzem.

P. Prezydent był widzem na święcie kawalerji; był widzem również na uroczystości składania wieńca w katedrze na Wawelu. P. Marszałek składał wieniec w imieniu armji i raportował o tem P. Prezydentowi.

Uroczystość na Wawelu, w katedrze, w specjalnym nastroju, wywołanym otoczeniem, sprawiła bodaj głębsze jeszcze wrażenie, aniżeli malownicza rewja na Błoniach.

Liczni cudzoziemcy, dyplomaci i dziennikarze, nie ukrywali swego wzruszenia. Wielu z nich po raz pierwszy oglądało obu dostojników zbliska, z odległości kilku kroków.

Czynną rolę odgrywał P. Prezydent na Zamku Wawelskim, gdzie, jako gospodarz starej siedziby królewskiej, podejmował licznych gości na raucie.

Wawel znacznie lepiej nadaje się na tego rodzaju przyjęcia, aniżeli Zamek warszawski. Przez pięknie oświetlony Rynek, z koronkową wieżą Marjacką, widoczną z każdego bodaj zakątka w mieście, jedzie się na Wawel, wyrastający z plantów w blasku reflektorów.

Przecudny dziedziniec jest już wspaniałą salą balową, a komnaty Zamkowe na Wawelu tę mają przewagę nad salami warszawskiemi, że z każdej z nich otwiera się wspaniały widok na Kraków, na Wisłę, hen w dal.

1000 słów depeszy

Wśród dziennikarzy zagranicznych, zaproszonych na uroczystości, znajdował się również p. Frederick T. Birchall, główny europejski korespondent największego dziennika amerykańskiego „The New York". P. Birchall pobił w Krakowie wszystkie bodaj rekordy polskie, jeżeli chodzi o sprawozdanie telegraficzne. Wysłał depeszę na tysiąc słów do swojego pisma. Dopatrzył się w uroczystości ostrzeżenia pod adresem zachodniego sąsiada Polski, iż jesteśmy w pogotowiu i posiadamy w kawalerji doskonałą broń w specjalnych naszych warunkach geograficznych.

P. Birchall zwiedził również Warszawę. Uderzyło go ożywienie na ulicach i ruch w lokalach rozrywkowych. W nowej depeszy — tym razem na 800 słów — postawił swoim ziomkom zarzut, że niesłusznie i z krzywdą dla siebie lekceważą Polskę, jako kraj turystyczny.

„Warszawa — powiada — jest wesoła i żywa ponad miarę. Nazywają ją Paryżem Północy — ale to porównanie jest o tyle nieścisłe, że jej wesołość nie jest zrobiona dla turystów. Mało tu przyjeżdża turystów — nie wiem dlaczego. Może dlatego, że trasy wycieczek są zgóry ustanawiane w ajencjach zagranicznych, a Polska może nie wydaje się zdaleka dość powabna, co nie odpowiada rzeczywistości. Przedstawiciel pewnej amerykańskiej ajencji turystycznej skarżył mi się, że jego szefowie wysłali kilka tysięcy Amerykanów do Rosji, i z tych pięciu tysięcy ludzi, którzy przejeżdżali przez Polskę, tylko 2 — dosłownie dwuch — zatrzymało się w Polsce.

„A jednak restauracje i dancingi warszawskie są może weselsze od paryskich, a napewno tańsze. I jeżeli trwać będą obecne stosunki w Niemczech, stać się może rzecz niezwykła, że stolica Polski będzie Mekką rozrywkową dla szukających wypoczynku i urozmaicenia zamożnych businessmanów z hitlerowskiego Berlina!"

Przemiany p. Titulescu

(J.) Przed paroma dniami bawił w Warszawie jeden z najzdolniejszych dyplomatów świata i jeden z najdowcipniejszych mężów stanu — p. Mikołaj Titulescu, rumuński minister spraw zagranicznych.

P. Titulescu był gościem rządu polskiego, ale głównym celem jego wizyty było nawiązanie kontaktu z rządem rosyjskim, zapomocą posła sowieckiego w Warszawie, Antonowa Owsiejenko.

W pierwszym dniu swego pobytu w Warszawie p. Titulescu złożył wizytę p. Owsiejence. Ten rewizytował go nazajutrz. P. Owsiejenko był też jedynym obcym dyplomatą, zaproszonym na pożegnalne śniadanie do rumuńskiego poselstwa. Wreszcie p. Owsiejenko przybył na dworzec, żeby żegnać rumuńskiego ministra.

Słowem, poseł sowiecki był osobą, która była w najczęstszym i najbliższym kontakcie z p. Titulescu podczas jego dwudniowego pobytu w Polsce.

A jeszcze przed rokiem p. Titulescu storpedował rumuńsko-sowiecki pakt o nieagresji słynnym swoim wywiadem w prasie angielskiej! Obejmując zaś stanowisko ministra spraw zagranicznych, był zdecydowanym przeciwnikiem porozumienia z Sowietami.

Ale też w ciągu tego roku w Niemczech narodził się rząd Hitlera, konferencja gospodarcza zakończyła się zupełną klapą, konferencja rozbrojeniowa wykazała niemożliwość dojścia do porozumienia z Niemcami, a Rosja Sowiecka, pokłócona z Niemcami i zaprzyjaźniona blisko z Polską i Francją, wyrosła nieomal na gwarantkę pokoju europejskiego.

P. Titulescu jest politykiem giętkim i subtelnym. Nie żywi dziś niechęci do porozumienia z Sowietami. Wręcz odwrotnie — szybkiemi krokami zmierza ku zupełnej normalizacji stosunków z Rosją; Polska służy p. Titulescu w tej pracy swoją życzliwą pomocą.

Kanclerz Dollfuss jest dobrym ojcem

Kanclerz Dollfuss lubi rano używać przejażdżki konnej

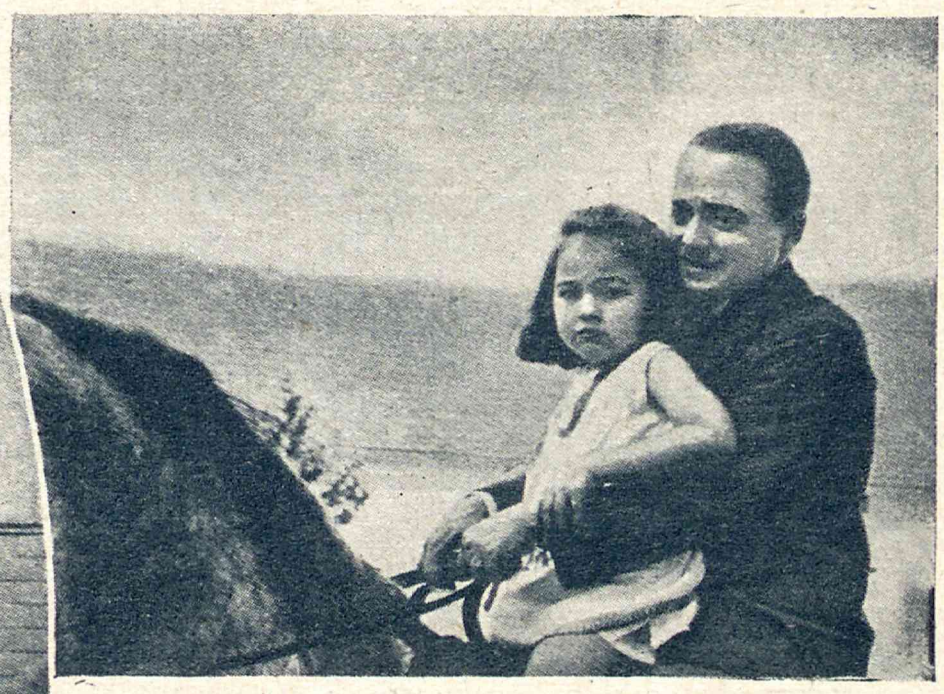

Przejażdżka z córeczką

Kanclerz Dollfuss po zamachu szybko przychodzi do zdrowia pod opieką małżonki. Nie odstępuje go też sekretarz dr. Kemptner

Mały kapral naszych czasów

(Wig) Dwa strzały, wymierzone w kanclerza Dollfussa, rozległy się głośno w całym świecie i przyczyniły znowu do spopularyzowania jego nazwiska. Ten malutki człowieczek wyrasta na wielką figurę europejską. Przed dwoma laty nikt jeszcze o nim nie słyszał; dzisiaj jest najsławniejszym politykiem Europy Środkowej. I nie zawdzięcza tego ani tryumfom wojennym, ani zamachowi stanu. Okoliczności same go wyniosły. Ma szczęście.

Bo nie pcha się, nie puszy, nie reklamuje. Jest raczej skromny i cichy, jak skromne jego pochodzenie.

Syn wieśniaka, rolnika z pogranicza bawarskiego, kształcił się niemal o własnych siłach. Zrazu studjował w Monachjum, gdzie dziwnym zbiegiem okoliczności kolegował z von Neurathem, dzisiejszym ministrem spraw zagranicznych Rzeszy. I nietylko kolegował, ale i rywalizował o względy jasnowłosej Grethen. Ale ta wolała Neuratha, przewyższającego Dollfussa urodzeniem, bogactwem, elegancją, a przedewszystkiem — wzrostem. Rozżalony „karzełek" przeniósł się do Wiednia i odtąd może w jego niemieckie serce wkradła się niechęć do współplemieńców z Rzeszy. Zresztą nie myślał o swoim monachijskim rywalu, który robił szybką karjerę dyplomatyczną.

Na wojnie — mimo osobistej odwagi i dzielności — dosłużył się Dollfuss zaledwie rangi kaprala czy sierżanta. Potem skończył uniwersytet i został doktorem agronomji. Pracował na roli, zakładał kooperatywy mleczarskie i zbiornice jaj, zyskiwał coraz większe uznanie wśród chłopów tyrolskich i coraz większe zasługi kładł na polu współdzielczości rolnej. To go zaprowadziło na stanowisko urzędnika w ministerstwie rolnictwa i dało możność wykazania niezwykłej sumienności, sprawności i energji w pracy.

Naraz wykryto wielkie afery na kolejach austrjackich. Skandal stawał się światowym. Należało oczyścić atmosferę i administrację kolejową. Trzeba było znaleźć człowieka z głową i czystemi rękami. Któryś z ministrów przypomniał sobie zaradnego referenta z ministerstwa rolnictwa. Dollfussa zrobiono dyrektorem generalnym kolei. Stąd już układały mu się łatwo tory dalsze. Przy najbliższem przesileniu gabinetowem otrzymał tekę rolnictwa, przy następnem — kanclerstwo.

Czasy były dla Austrji niepomyślne: skarb — wyczerpany, deficyty wzrastające, życie gospodarcze — zamarłe, stosunki polityczne zabagnione przez walki partyjne. Wszystko to w organizmie okaleczonym i nadwątlonym przez wojnę. Wzbierające, jak fale, wpływy hitleryzmu groziły zalaniem Austrji i zatopieniem jej w morzu bezprawia wszechniemieckiego. Czekał ją los Bawarji i Saksonji, tak zazdrośnie doniedawna jeszcze strzegących swej państwowości.

I właśnie to niebezpieczeństwo

uczyniło z Dollfussa bohatera. Spokojny rolnik, skromny urzędnik, zacny ojciec rodziny, bawiący się najchętniej w chwilach wolnych od zajęć z dwiema małemi córeczkami, poczuł w sobie posłannictwo Boże dla obrony małej, cichej, katolickiej Austrji przed awanturnictwem politycznem Prus, szukających założeń ideologicznych w niemieckiej reformacji, a nawet w starogermańskiem pogaństwie.

Dollfuss stanął przeciwko Hitlerowi w chwili, gdy wszystko się przed nim korzyło. Zyskało mu to nazwę Dawida walczącego z Goljatem i sympatję, jaką ludzkość cywilizowana okazuje zawsze słabszemu fizycznie lecz silnemu duchem. Moc charakteru kanclerza austrjackiego oceniona została zarówno wewnątrz, jak i nazewnątrz państwa. Mały Dollfuss jest dzisiaj wielkim mężem stanu, a drobne rany, jakie odniósł podczas niedawnego zamachu, tylko spotęgowały jego wpływy w kraju i znaczenie w całej Europie.

Tajemnica popularności

(Old.). Prezydent Roosevelt zaraz po objęciu władzy zmniejszył o 400 miljonów dolarów emerytury b. uczestników wojny. To też otoczenie odradzało mu pokazywania się na tegorocznym kongresie związku weteranów obawiając się wrogiej manifestacji.

Ale prezydent uparł się i pojechał na kongres Oczekując na otwarcie posiedzenia, zauważył, że siedzący w pierwszym rzędzie inwalida wojenny, John Sullivan, ma dziurawe buty. Prezydent przywołał go i rzekł:

— Mój kochany, mam do ciebie prośbę. Strasznie mnie cisną buty, już nie mogę wytrzymać. Czy nie zamieniłbyś się ze mną.

I dokonał tej tranzakcji na oczach całego audytorjum, które zgotowało prezydentowi szaloną owację.

Kłopoty genewskie

(V.). Myliłby się, ktoby sądził, że Liga Narodów, a przedewszystkiem jej sekretarjat martwi się niepowodzeniem pertraktacji rozbrojeniowych, sporami o prawa mniejszości narodowych lub wojną w Chaco. Zupełnie inne troski gnębią członków sekretarjatu. Łapią oni delegatów państw na kurytarzach i molestują o wpłacenie zaległych składek. Wskutek bowiem niepunktualnego płacenia deficyt Ligi rośnie zastraszająco. Na 31 grudnia 1932 należności Ligi od państw wynosiły 23.958.258 franków szwajc. Z tego dotychczas wpłynęło zaledwie 1.680.066 fr. szw. Pozostaje do uregulowania przeszło 22 milj. Do tego należy dodać zaległości za rok bieżący, wynoszące około 19 miljonów fr. szw. Czyli razem deficyt sięga przeszło 40 miljonów. Ładna sumka!

Najwięcej zadłużone są kraje Ameryki Południowej. Należałoby je już dawno wykreślić z listy członków. Tymczasem nie można tego zrobić w obawie o autorytet Ligi. Przeciwnie, robi się Ameryce Południowej ciągłe reweranse, żeby zatuszować nieobecność Ameryki Północnej. To też ledwo Argentyna wróciła do Ligi po długim okresie nienależenia, już ją wybrano do Rady, chociaż nie uregulowała ani dawnych, ani nowych należności.

Prawdziwą sensację wywołało ostatnio wpłacenie do kasy Ligi pewnej sumy przez Chiny, mające największe zadłużenie. Cóż się jednak okazało? Dwa razy większą sumę kosztować będzie wysłanie do Chin z ramienia Ligi ekspedycji sanitarnej, której przewodniczy dr. Ludwik Reichman, warszawianin.

Finanse Ligi Narodów stoją jeszcze gorzej od finansów wchodzących w jej skład państw.

Oparkanione życie

(go.). W Polsce wogóle, a w Warszawie specjalnie istnieje manja płotów, parkanów, murów i t. p., co nadaje miastu pozór obozów koncentracyjnych.

Proszę się przejść Aleją Jerozolimską od Dworca Głównego wzdłuż toru kolejowego? Poco ten okropny parkan, na kilometr długi. Albo przy ulicy Nowogrodzkiej! Uroczy Ogród Pomologiczny zasłonięty kompletnie parkanem, pomalowanym na czarno. I tak na każdej prawie ulicy.

Czy to od złodziei?

Ale któryż parkan na świecie jest przeszkodą dla złodzieja? Istnieją przecież skuteczniejsze środki ochrony.

Proszę zobaczyć, jak pięknie teraz wygląda ul. Marszałkowska od Placu Zbawiciela ku placowi Unji Lubelskiej dzięki temu, że Ministerstwo Spraw Wojskowych kazało znieść ohydne murki i odsłoniło przestrzeń. W tym punkcie ulica nabrała odrazu wyglądu kulturalnego, niemal wielkomiejskiego.

Czy nie możnaby tego zastosować w całem mieście?

Dość tego wyglądu więziennego z czasów carskich! Chcemy przestrzeni, powietrza, światła...

Olga Niewska w swej pracowni

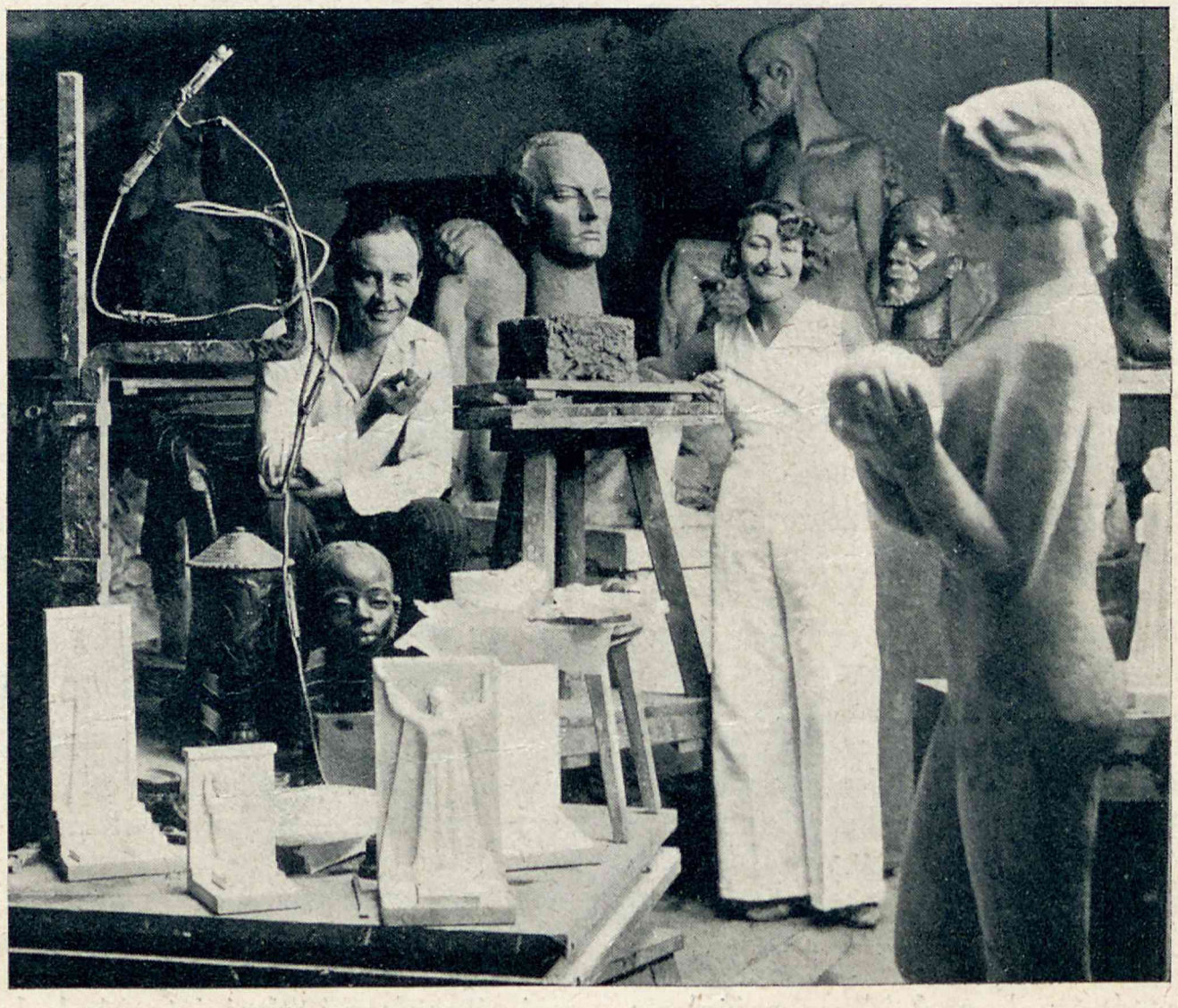

Igo Sym pozuje głośnej artystce

MIASTO BEZ KOBIET

Jeden dzień w Lizbonie

Lizbonę trzeba oglądać z morza, jak Neapol czy Konstantynopol. Pnie się rzędami okazałych białych domów ku górom, które giną szarawo-niebieską wstęgą nad szerokiem, rozlanem ujściem Tagu.

Ta najbardziej na zachód i na południe wysunięta stolica europejska jest dziwaczną mieszaniną kultur i obyczajów. Każdy Europejczyk może znaleźć tam coś swojskiego, i każdy mimowoli odczuwa egzotyczność środowiska, nawet po uprzedniem zwiedzeniu sąsiedniej Hiszpanji.

Lizbona była pierwszym postojem naszego transatlantyku „Polonji" w jej ostatniej podróży „dokoła Europy". Nie omieszkała porwać swym osobliwym urokiem i gościnnością.

* * *

Dla przeciętnego turysty, pożeracza rzeczy godnych widzenia, zbieracza powierzchownych wrażeń i fotografij — Lizbona zrazu wydać się może nieciekawa.

Przed jakiemiś stu laty, w kilka dziesiątków lat po strasznem trzęsieniu ziemi 1755 r., cudzoziemcy zwiedzający Lizbonę nie znajdywali dla niej innego określenia, jak „wielkiego rumowiska, na każdym kroku ukazującego ślady straszliwej kary boskiej". To jednak trzęsienie ziemi, które oszczędziło starą, wschodnią część miasta, pozwoliło nowe nadbrzeżne dzielnice przekształcić na jedne z najpiękniejszych w południowej Europie.

Wskutek trzęsienia ziemi Lizbona pozbawiona jest zabytków. W całem mieście niema ani jednego naprawdę interesującego kościoła. Z katedry ocalały tylko fronton i absyda. Odbudowane

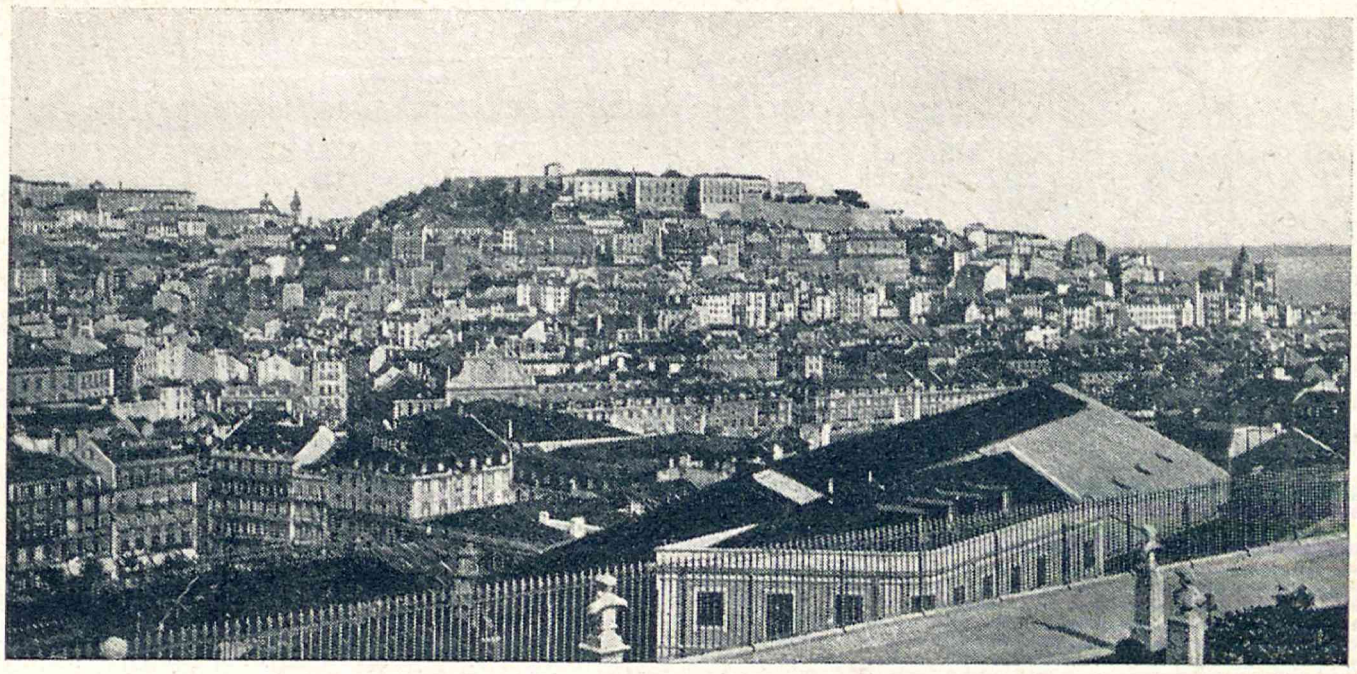

Widok ogólny miasta

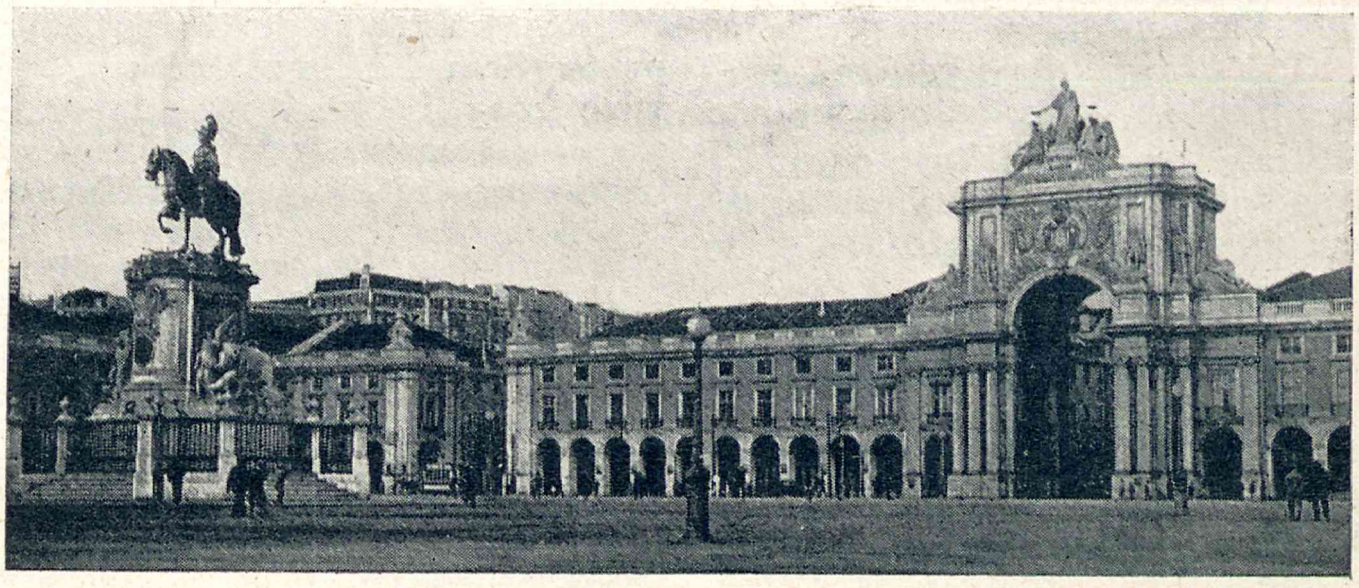

Plac de Comercio z posągiem Don Pedra

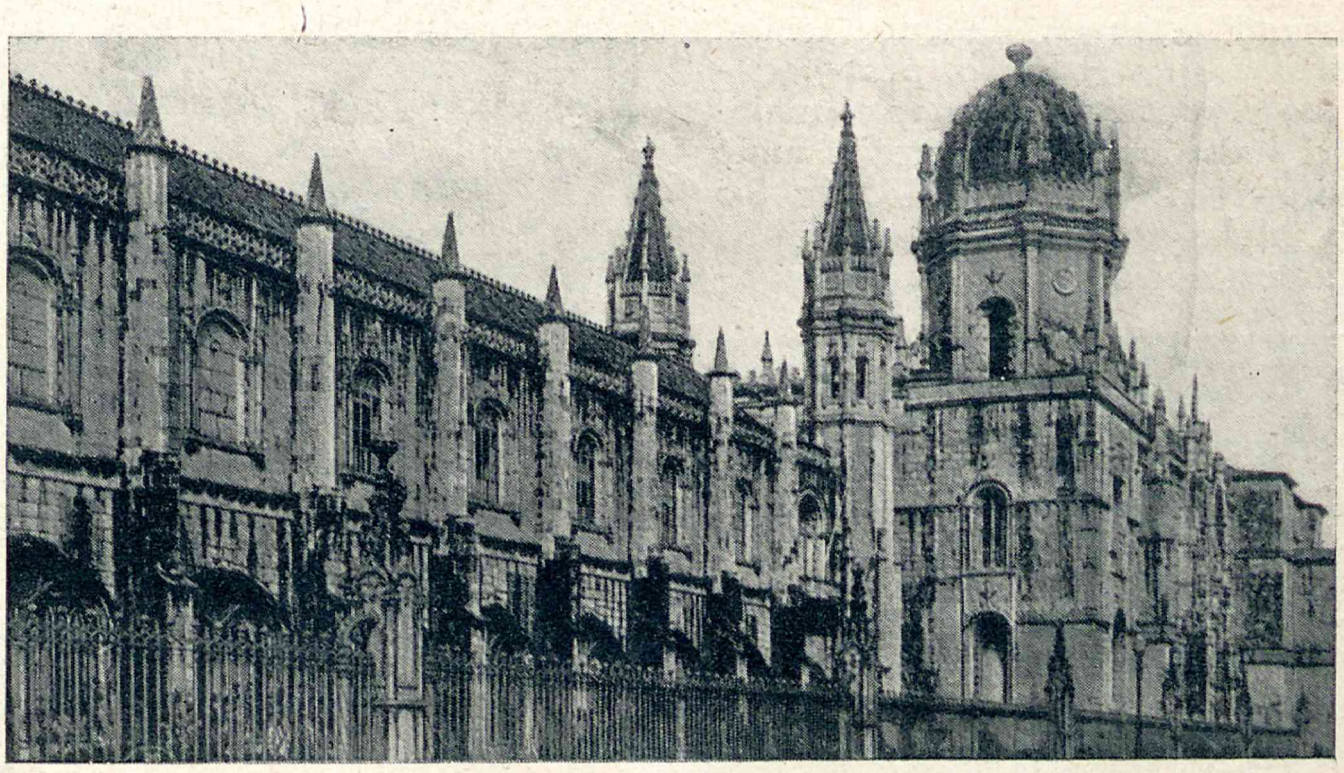

Kościół św. Hieronima

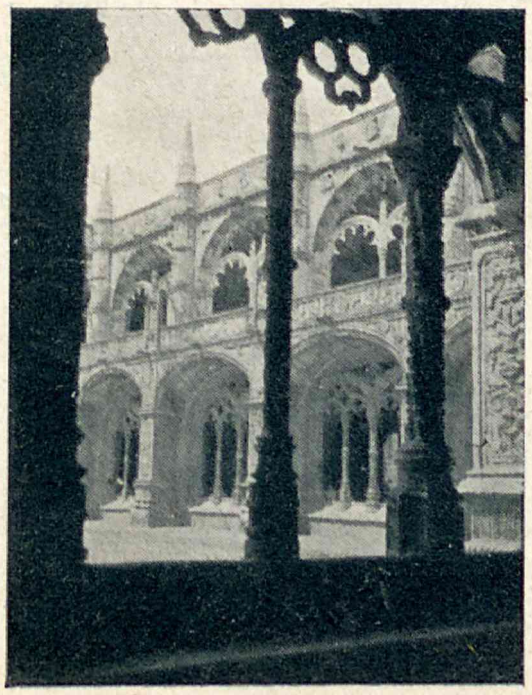

Klasztor św. Hieronima

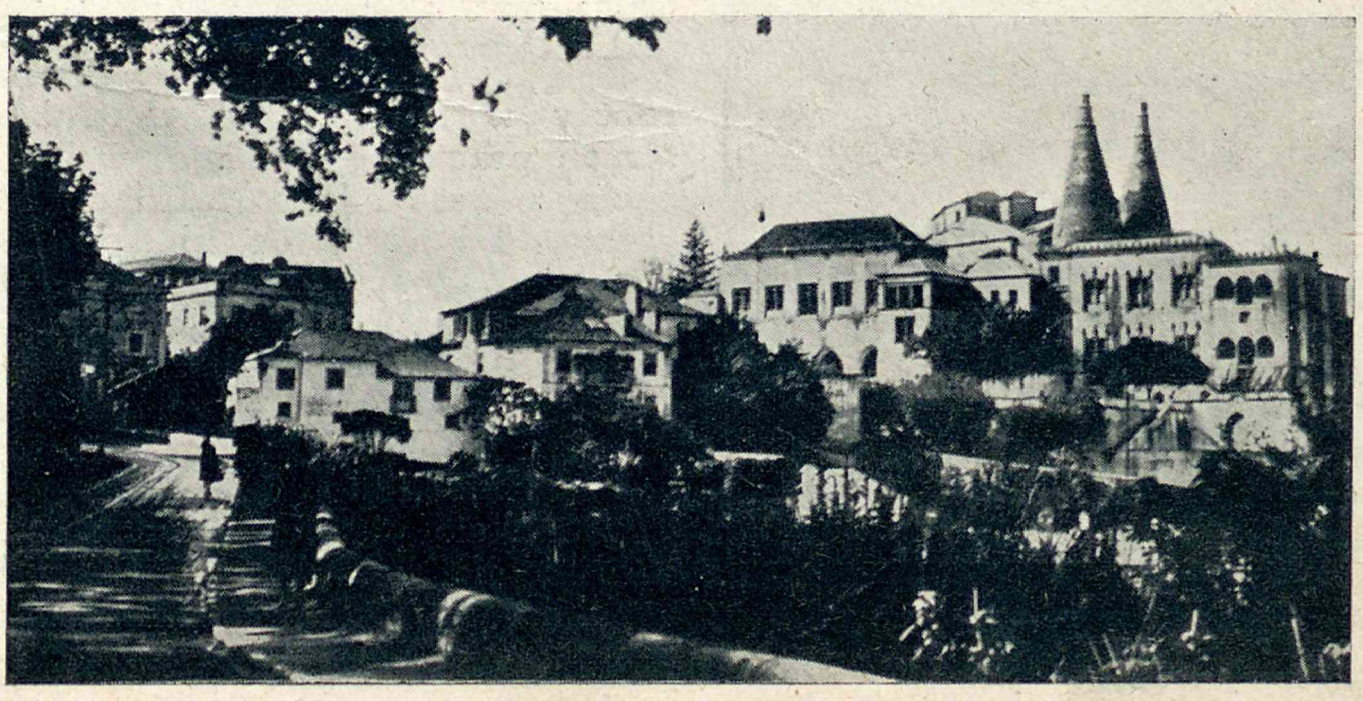

Pałac Maria Pia w Cintra

miasto zostało natomiast rozplanowane z kunsztem i rozmachem przez wielkiego markiza de Pombal, — twórcę nowoczesnej Lizbony. Na pięknym placu de Comercio, jak na Etoile w Paryżu, zbiegają się główne ulice, równe, długie, pełne życia.

Wieczorami, skoro miną upały, cała ludność męska wylega na ulice, zapełnia kawiarnie, gromadzi się na trotuarach. Kobiet nie widzi się ani we dnie, ani w nocy. Maurowie dawno już poszli, bardzo zresztą krótko zajmowali Portugalję, ale i dzisiejszy portugalczyk traktuje kobietę, jak ongiś Maur. Trzyma ją w domu, a sam się bawi, chodzi do kawiarni, popija doskonałą naprawdę kawę.

Kobietę portugalską oglądać można było jedynie zrana na targu, gdzie za jednego eskudosa — za 35 groszy — można było nabyć kilo najprzedniejszych winogron. W tym szczęśliwym kraju winogrona i brzoskwinie kosztują tyle, co ziemniaki...

Jedną z najulubieńszych rozrywek portugalczyka wydaje się czyszczenie butów. Jeszcze w Hiszpanji za dobrych czasów Alfonsa XIII, kiedy panowie w arystokratycznych klubach całemi dniami wysiadywali w oknach, przyglądając się płynącemu po ulicy strumieniowi ludzkiemu — uderzyło mnie zamiłowanie do obuwia i dbałość o jego piękny wygląd. Panowie w oknach klubowych po kilka razy dziennie oddawali swe dolne kończyny w sprawne ręce niezwykle zręcznych czyścicieli ulicznych, ale i najgorzej ubrany wyrobnik niezwykłym sentymentem darzył swoje obuwie. Wędrówka „Polonji" po południowych morzach Europy przekonała, że pas śródziemnomorski zasługuje na miano pasa doskonałego czyszczenia butów. Od Lizbony do Konstantynopola obuwie męskie otoczone jest miłosną opieką.

* * *

Kiedy narówni z tubylcami oddawaliśmy się rozkoszom popijania kawy i glansowania bucików, zaofiarował nam swoje usługi, jako przewodnik i znawca miasta, pewien bosy i obszarpany młodzieniec, przemawiający najczystszą wschodnio - małopolską polszczyzną.

Piękne Polki na ulicach Lizbony

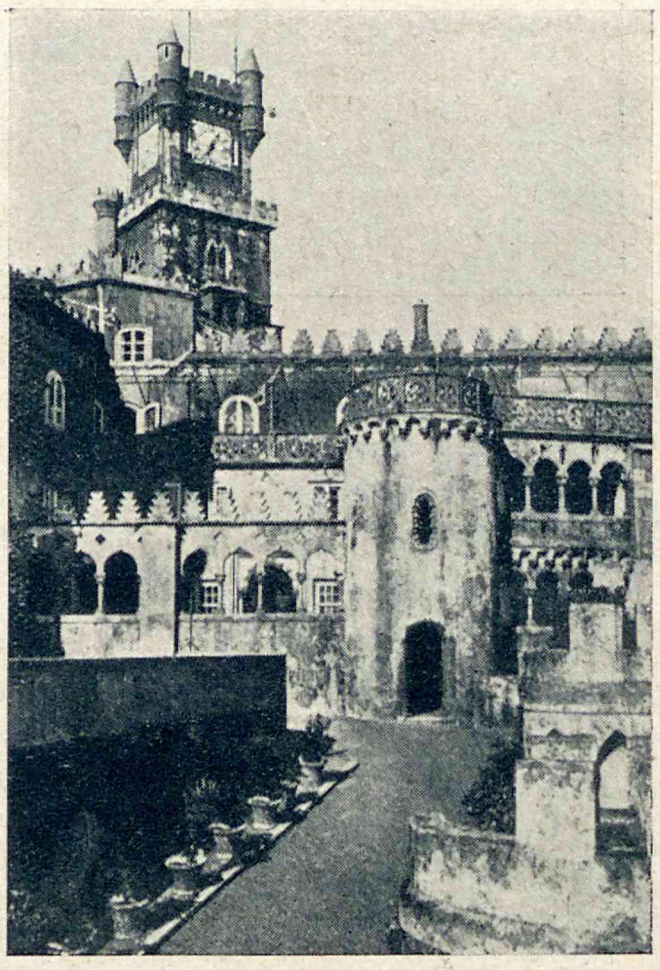

Pałac Pena w Cintra

Sprzedawał grzebyki norymberskie i szkiełka czeskie. Ten proceder przynosił mu kilka eskudosów na kupno kromki drogiego chleba i koszyka tanich owoców. Chłopak, Iwan Dmytruk, jeśli pamięć nie myli, przedostał się do Portugalji z Belgji. Emigrował z Polski na roboty w kopalniach belgijskich, stracił pracę, do rodzimej wsi nie chciał wracać i jakoś trafił do Lizbony. Do pracy go nigdzie nie przyjmą, dosyć mają własnych bezrobotnych. Pozwalają mu zajmować się handlem ulicznym.

Nie on jeden wyemigrował z Belgji do Portugalji. Pasażerowie naszej „Polonji", którzy zachwycali się pięknemi sweterkami damskiemi i koszulkami męskiemi, zapełniającemi witryny lizbońskie, mogliby się dowiedzieć, że te piękne wyroby pochodzą z warsztatów obywateli polskich, żydów łódzkich i małopolskich, którzy rozwinęli wcale pokaźny przemysł trykotażowy w Belgji i z powodu kryzysu przenieśli się na nowy teren.

* * *

Klasyczną wycieczką w okolicach Lizbony jest wyprawa do Cintry, dawnej siedziby królów portugalskich. Cintra, to jeden z najpiękniejszych zakątków Europy. Nazywają ją rajem Portugalji. Byron poświęcił jej kilka wierszy ze swoich „Wędrówek Childe Harold'a". Ogrody, lasy, góry, wąwozy, pałace i ruiny Citry tworzą zaczarowany świat bajki średniowiecznej. Nie radzimy podróżnym oglądać wnętrza ani Paço de Cintra, pałacu maurytańskiego z jego dwoma stożkowatemi kominami i malowniczemi dodatkami renesansowemi, ani Castello de Pena, z niezwykłą śmiałością wykutego na szczycie wysokiej skały. Oba te pałace zachwycają i imponują; na tle zielonych gór i w blasku słonecznym jaskrawie występuje to, co jest w nich istotnie pięknego. Wnętrza jednakowoż są świadectwem złego smaku ich niedawnych mieszkańców, królów portugalskich. Wewnątrz starego pałacu w Cintra zatracono urok maurytańskich sal i renesansowych komnat, a z każdego kąta Castello di Pena wyziera drobnomieszczański gust jego mieszkańców.

* * *

Rzeczy naprawde godne widzenia w Lizbonie znajdują się na przedmieściu Belem — przede-

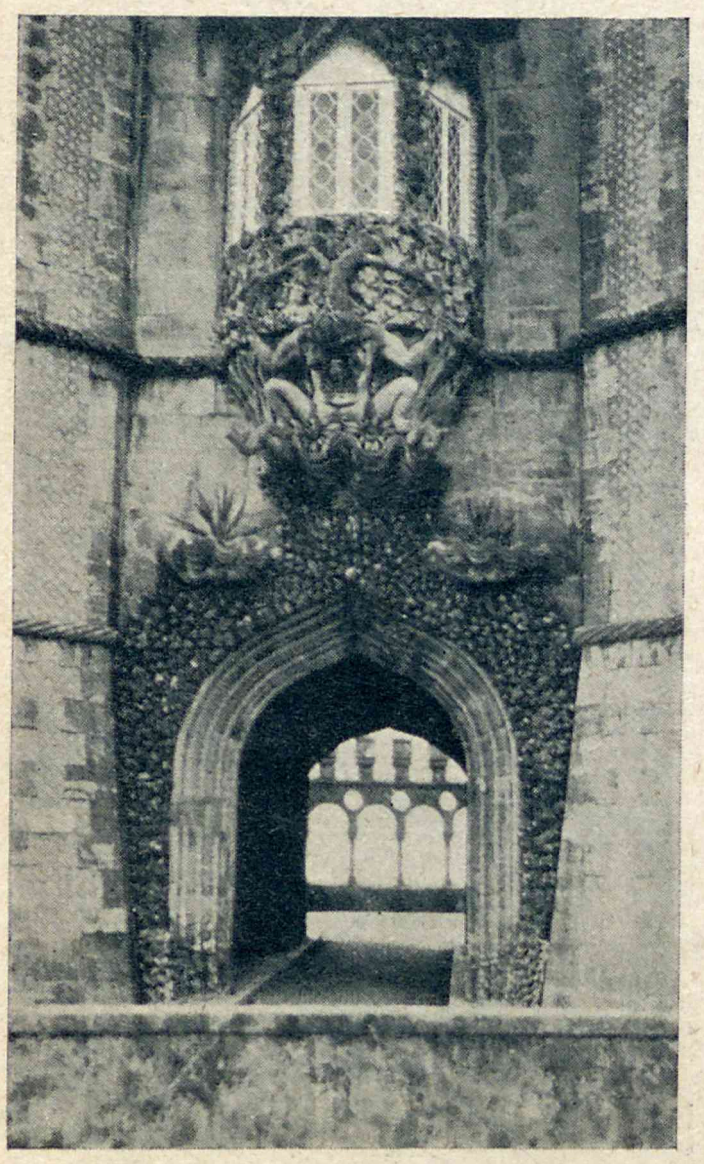

Wejście do pałacu Pena

wszystkiem wspaniały kościół św. Hieronima i przyległy klasztor. Kościół ten, wzniesiony na początku XVI stulecia dla upamiętnienia tryumfów wielkiego podróżnika Vasco de Gama, — prochy jego spoczęły wewnątrz kościoła — jest arcydziełem późnego gotyku, chylącego się do upadku i schodzącego do grobu w nadmiarze ozdób i ornamentów. Przebogata ornamentacja kolumn, okien i całego wnętrza przykuwa oko, zatrzymuje je na szczegółach, cieszy zmysły, ale daremno szukałbyś w kościele św. Hieronima tych wzruszeń, które dają katedry sąsiedniej Hiszpanji. Zmysłowość gotyku „manoelickiego" ze szczególną siłą występuje w cudownem „cloitre", jak na dziedzińcach i w ogrodach maurytańskiej Alhambry.

Na szczęście, trzęsienie ziemi 1755 roku nie zaszkodziło przedmieściu Belem. Kościół św. Hieronima ocalał w pełnej swej krasie. Vasco de Gama i poeta Camoens spoczywają w otoczeniu takiem, w jakiem pędzili swój bujny i burzliwy żywot.

js.

Piewca wzburzonych mórz

Barwne było życie Władysława Stachowskiego.

Niewiele wiadomo o nim w kraju, gdyż spędził w Polsce zaledwie schyłek swych dni, jako ofiara rewolucji bolszewickiej, wygnany z Kaukazu. Tam też znajduje się niemal cały jego dorobek malarski. Wchłonęła go całkowicie Rosja, trochę zabrały dwory książąt niemieckich, więcej znacznie amerykańscy kolekcjonerzy, albowiem Stachowski był poszukiwanym malarzem morza i ludzi morskich.

Wprawdzie studjował w Akademji petersburskiej i otrzymał nawet dyplom ukończenia tej uczelni, przyozdobiony kilkoma medalami za wybitne prace, ale właściwym nauczycielem Wł. Stachowskiego było życie, równie awanturnicze, jak Jacka Londona i wielu innych trampów.

Wł. Stachowski był obieżyświatem, trawionym gorączką wrażeń i nowości, włóczył się po morzach, jako marynarz, pracował na egzotycznych fermach, jako parobek, docierał aż do Czerwonej Rzeki i przyjaźnił się z Czerwonoskórymi.

Nie gardził żadnym trudem, byle wędrować po świecie i łowić przygody. Najdłużej zaś był marynarzem na żaglowcach, albowiem morze pociągało go najwięcej i najwięcej dawało wzruszeń. A ponieważ często zmieniał kompanje okrętowe, więc przebiegł kulę ziemską wszerz i wzdłuż, by wreszcie po wielu przeżyciach osiąść w małem portowem miasteczku na Kaukazie wśród Tatarów, Ormian i Lezginów.

Wiele wspólnych cech łączy Wł. Stachowskiego z Józefem Conradem. Obaj znali Polskę z legendy i wyobrażenie o niej wypiastowali w swych rojeniach, pomimo przedziwne koleje losów zostając w głębi duszy Polakami. Tak silnym był u nich zew rasy.

I obaj, potomkowie stuprocentowych szczurów lądowych, pokochali morze, które stało się niemal wyłącznym przedmiotem ich wzruszeń estetycznych. Formę zaś artystyczną zabrali od Anglosasów.

Wł. Stachowski studjował jakiś czas malarstwo w Nowym Jorku i zostawał pod urokiem angielskich marynistów. Dowodem tego jego prace w „Zachęcie", zebrane na pośmiertnej wystawie.

Groza morskiego żywiołu, tajemniczość i zwycięska z nim walka człowieka przemawiają z obrazów Stachowskiego, tak samo, jak ze ścian Royal Academy.

I tem właśnie ciekawy jest Wł. Stachowski dla polskiej sztuki, iż oparł swą twórczość na anglosaskiej tradycji i przekazał ją malarstwu polskiemu.

Witołd Bunikiewicz

Władysław Stachowski przy pracy

PARYŻ W ROKU 1937

Prace przygotowawcze do Międzynarodowej Wystawy w Paryżu w r. 1937, sprawiają wiele kłopotu organizatorom. Pierwszy projekt zabudowania terenów wystawowych, przedstawiony przez arch. Letresne, spotkał się z tak silną opozycją, iż minister oświaty de Menzie zdecydował się powierzyć wykonanie nowego projektu znakomitemu architektowi Augustowi Perret. Sprawa nie jest jeszcze zdecydowana, w każdym razie oba projekty współzawodniczą ze sobą pod względem rozmachu i... kosztów. Projekt Letrosne'a przewiduje wydatki w sumie około 300 miljonów franków, projekt Perreta około miljarda franków! Chodzi jednak nie o byle jakie rzeczy. Na przestrzeni między placem Trocadére i placem Fonteney wszystko ma być przewrócone do góry nogami. Na Sekwanie będą rzucone nowe mosty. Powstanie szereg nowych gmachów, które po wystawie przeznaczone zostaną na muzea.

Dla oczyszczenia miejsca pod przyszłą wystawę trzeba będzie usunąć szereg gmachów. Zagrożony jest nawet pałac Trocadére, zbudowany na wystawę w r. 1878 i wiążący się nierozerwalnie z wyglądem dzisiejszego Paryża.

O wyborze miejsca pod przyszłą wystawę zdecydowały cyfry. Wystawa w r. 1925, pomieszczona w centrum Paryża, otrzymała od miasta 14.700.000 franków subsydjum i w całości sumę tę spłaciła. Wystawa Kolonjalna zaś, pomieszczona w lasku Vincennes, kosztowała miasto 11 miljonów fr.

Słowem, wielkie urbanistyczne koncepcje, przedstawiają kawał Paryża w zupełnie nowej szacie w r. 1937.

ŚWIAT KSIĄŻKI

Wierzby nad Sekwaną

Nie wszyscy zdają sobie sprawę, w jakich warunkach pracuje emigrant polski we Francji. Jak wykazała ankieta, przeprowadzona w swoim czasie przez naszą redakcję, spotkać tam można również jednostki, które dorobiły się, zagospodarowały. Naogół jednak stosunki, szczególnie natychmiast po zakończeniu wielkiej wojny, dawały wiele do życzenia. Gdy się jeszcze weźmie pod uwagę specyficzne właściwości francuzów, jako pracodawców, niekiedy robotnik - Polak znajdował się wprost w warunkach tragicznych.

Dzieje emigranckie takiego powojennego robotnika wziął sobie za temat dwutomowej powieści p. J. Wiktor, autor kilku wzruszających książek o doli i niedoli chłopskiej. Utwór jego zwie się „Wierzby nad Sekwaną". Opowiada o wyzysku nędzy chłopskiej przez kopalnie, fermerów, fabrykantów Francuzów. Gdziekolwiek zwróci się nasz chłop, traktowany jest brutalnie i poniżająco. Wymyślają mu Francuzi, iż jest brudasem, a sami nie zmieniają po miesiącu bielizny. Skąpstwo francuskie razi nawet oszczędnych naszych chłopów. Gadają mu o wyższości cywilizacyjnej, urągają swoją kulturą, a nie interesują się niczem, prócz wyzysku. Jaśniejszą plamą w tym zespole ciemnych barw, nagromadzonych przez J. Wiktora, jest kilka scen z księżmi. Chłop polski, przyzwyczajony do dostatku, panującego na plebanji, widzi we Francji księży, zarabiających na swoje utrzymanie pracą rąk, traktujących kapłaństwo jako posłannictwo. Dużą plastyką zalecają się sceny podczas strajku w kopalni oraz straszliwe opisy życia ludzi proletarjatu paryskiego. Epizod pijacki Aleksandra - szmaciarza wstrząsa ohydą.

Emigrant polski, jadąc na obczyznę, wyobraża sobie, że znajdzie tam gotowy chleb i będzie mógł zaoszczędzić trochę grosza, by pomódz swojej rodzinie. Niestety, niezawsze daje się to przeprowadzić. J. Wiktor wybrał na bohatera swojej opowieści pechowca, któremu się nic nie darzy, a życie go nie szczędzi. Gorzej jeszcze wypadły doświadczenia emigranckie Józi. Stacza się ona na dno tragedji.

Powieść J. Wiktora godną jest poznania. Odsłania ona nowe możliwości artystyczne na palecie tego pisarza.

E. C.

Krakowski Wells

Nieznany zupełnie w literaturze Józef Rzegost-Witulski pozazdrościł genjalnej wizji angielskiemu pisarzowi Wellsowi, przedstawiającej potworności przyszłej wojny, i napisał powieść p. t. „Europa w ogniu, rok 1933", w której z rozbrajającą naiwnością rozwiązuje konflikty polityczne, nurtujące współczesną ludzkość. Lato i jesień bieżącego roku są tym okresem, po którym nastaje błogosławiony pokój, lecz mapa Europy zmienia się doszczętnie.

Akcja powieści, rozgrywająca się po kawiarniach krakowskich i w redakcjach nieistniejących pism, przeładowana jest nienawiścią rasową i nudnemi tyradami demagogicznemi, robiącemi, dzięki swojej banalności, wrażenie wprost humorystyczne. W te same walory wyposażony jest i główny bohater, postać papierowa, patetyczna i zupełnie nierealna.

Również i techniczna strona powieści pozostawia dużo do życzenia. Styl nieudolny, budowa zdań wadliwa, obfitująca w rażące błędy językowe. Słowem, debiut wypadł pod każdym względem niefortunnie.

j. s. w.

Rękopisy Flaubert'a

W słynnej, licytacyjnej sali Drouet'a w Paryżu przed tygodniem sprzedano pamiątki, rękopisy, listy po znakomitym twórcy „Pani Bovary". Za rękopis „Trzech Opowiadań", dedykowany przyjacielowi Ed. Laportowi, otrzymał w przetargu spadkobierca okrągłą sumę 48 tysięcy franków. Cyfra ta jest niewątpliwym objawem pietyzmu dla twórczości literackiej.

U nas za rękopisy Sienkiewicza, Prusa czy Żeromskiego niewiele dałoby się osiągnąć. Nie mamy po-prostu tej atmosfery literackiej, sprzyjającej właściwej ocenie wartości posiadania rękopisu!

Listy Flaubert'a sprzedawano po 800 franków. Kronikarz paryski przy tej okazji wspomina, że jeden z tych listów osiągnął wyższą stawkę, a to dzięki konceptowi licytanta. Powiedział on:

— Oto dokument z uwagami o Thiersie i Gambecie!

Sala nie drgnęła. Gdy jednak dodał:

— A wiecie państwo, co pisze w nim Flaubert o Mac-Mahonie?

Nastrój natychmiast ożywił się. Zażądano bliższych szczegółów. Licytant oświadczył, iż Flaubert użył w nim małoparlamentarnego wyrażenia na określenie moralnych właściwości zwycięzcy pod Magentą, a później jeńca z pod Sedanu.

Natychmiast podbito cenę tego listu! Okazuje się, że i w Paryżu „mocne" słowa bywają atrakcją.

Rehabilitacja matki „Orlątka"

Arcyksiężniczka austrjacka, żona Napoleona, matka „Orlątka" nie cieszyła się dobrą opinją u historyków. Zdradziła przecież „boga wojny" dla hr. Neiperga. Marja-Ludwika w 17 roku życia poślubiła Napoleona nie z własnej woli, lecz wskutek racji politycznych. Małżeństwo to stało się na czas jakiś ostoją tronu Habsburgów. Młoda cesarzowa Francji nie potrafiła obudzić w sobie uczuć dla genjalnego korsykanina. Duchowo była bardzo przeciętną, a nawet jak twierdzą historycy, nieinteligentną niewiastą.

Gdy Napoleona internowano na Elbie, chciała dzielić jego los. Niestety, rozkazano jej osiedlić się w stolicy austryjackiej. Podczas stu dni nie kwapiła się z powrotem do Paryża. Hr. Neiperg stał się już właściwie jej ...mężem. Znalazła w nim ukojenie serca, poznała szczęście niewieście przy boku mężczyzny. Odpowiadał on dobrze jej wyobrażeniom o życiu. Był tak samo, jak i ona przeciętnym austrjackim arystokratą, nie wyróżniającym się żadnym talentem. Miał on o Napoleonie takież pojęcie, jak i Marja-Ludwika. Na dworze Habsburskim nikt przecież nie szanował tego „parwenjusza", syna mizernego adwokata z Korsyki!

Marja-Ludwika, wychodząc za mąż za „boga wojny", wiedziała, iż jest ofiarą, złożoną na ołtarzu dynastji Habsburgów. Żądać od niej, by pokochała ...wroga i uległa czarowi Napoleońskiej legendy, to znaczy wymagać zbyt wiele od jej przeciętnego, niewieściego serca. Nie można jej przytem zarzucić, że zachowywała się niestosownie. Marja-Ludwika nawiązała swój stosunek uczuciowy z hr. Neipergiem po internowaniu męża na Elbie. Dla Neiperga była oddaną, kochającą kobietą. Z tej racji francuski historyk Lenotre w nowej monografji o Napoleonie oddaje jej sprawiedliwość, zdejmując z niej piętno „zdrajczyni". Była tylko zwykłą, przeciętną niewiastą!

NOWOŚCI LITERACKIE

„GRA MIŁOŚCI"

Andrzej Therive, krytyk literacki „Temps", odzywa się z dużem uznaniem o nowej powieści pt. „Gra miłości" („Jeu d'amour"). Jest to historja o zdradzonym mężu, znakomitym lekarzu, który usiłuje traktować przeniewierstwo żony, jako „infekcję organizmu". Autorem tego utworu jest młody pisarz francuski An. Lamandé. „Gra miłości" pisana jest z wdziękiem i pasją. W fakturze przypomina utwory M. Prevost'a.

„FOLLE QUI S'ENNUIE"

Robert Vivier, poczytny powieściopisarz francuski, przenosi nas na przedmieście Brukseli w powieści pt. „Folle qui s'ennuie" (Oszalała z nudów). Są to dzieje Antosi Delfosse, córki pracownika na dworcu kolejowym. Dojrzewała ona za okupacji Niemców. Amerykanie również wywarli wpływ na ukształtowanie się jej psychiki. Wychodzi za mąż za skromnego urzędnika ministerjalnego i w tem miejscu rozpoczyna się jej dramat. Ciche życie rodzinne męczy ją i nuży. Szuka ukojenia w zdradzie. Lecz i to nie daje jej zadowolenia. Powieść kończy się pogodnie. Antonina rodzi dziecko i fakt ten wprowadza jaki taki ład w jej życie.

„PAULINA GROSPAIN"

Nowa powieść Leopolda Chauveau pt. „Pauline Grospain" obudziła większe refleksje zarówno swoją fabułą, jak i plastyką środowiska. Bohaterka, córka stróżki, zostaje posługaczką w szpitalu. Zakochał się w niej chory i zamordował. Sceny szpitalne autor odmalował z rodzajową drobiazgowością.

POEZJA LUDÓW EURAZYJSKICH

(s). Pod tytułem „Pieśni narodów sowieckich" wydało Moskiewskie wydawnictwo państwowe zebrany i przełożony przez Andrzeja Globę zbiór pieśni Turkmenów, Tatarów nadwołżańskich, Mordwinów, Czuwaszów, Burjatów, Jakutów, Kirgizów, Kałmuków itd. Nie jest to twórczość ludowa w dosłownem znaczeniu, lecz indywidualne utwory poetyckie, które dzięki swemu rozpowszechnieniu i popularności stały się pieśnią ludową.

Smacznie zjesz
i Najmilej Spędzisz Wieczór
w Winiarni Ziemiańskiej
Dolne Salony Filharmonji.

TYDZIEŃ MIŁOSIERDZIA — „CARITAS"

Katolicki Związek „Caritas" urządza od 15 do 22 października r. b. „Tydzień Miłosierdzia".

Związek „Caritas" prowadzi na terenie Warszawy kuchnie dla bezrobotnych, rozdawnictwo żywności, opału i odzieży. Nadewszystko jednak opiekuje się rodziną, matką i dzieckiem przy pomocy żłobków, ochronek, kolonji i półkolonji letnich, wreszcie prowadzi przeszło 20 świetlic dla młodzieży i starszych.

Pod opieką SS. Szarytek — zabawa na półkolonji „Caritasu"

Po obiad do kuchni „Caritasu"

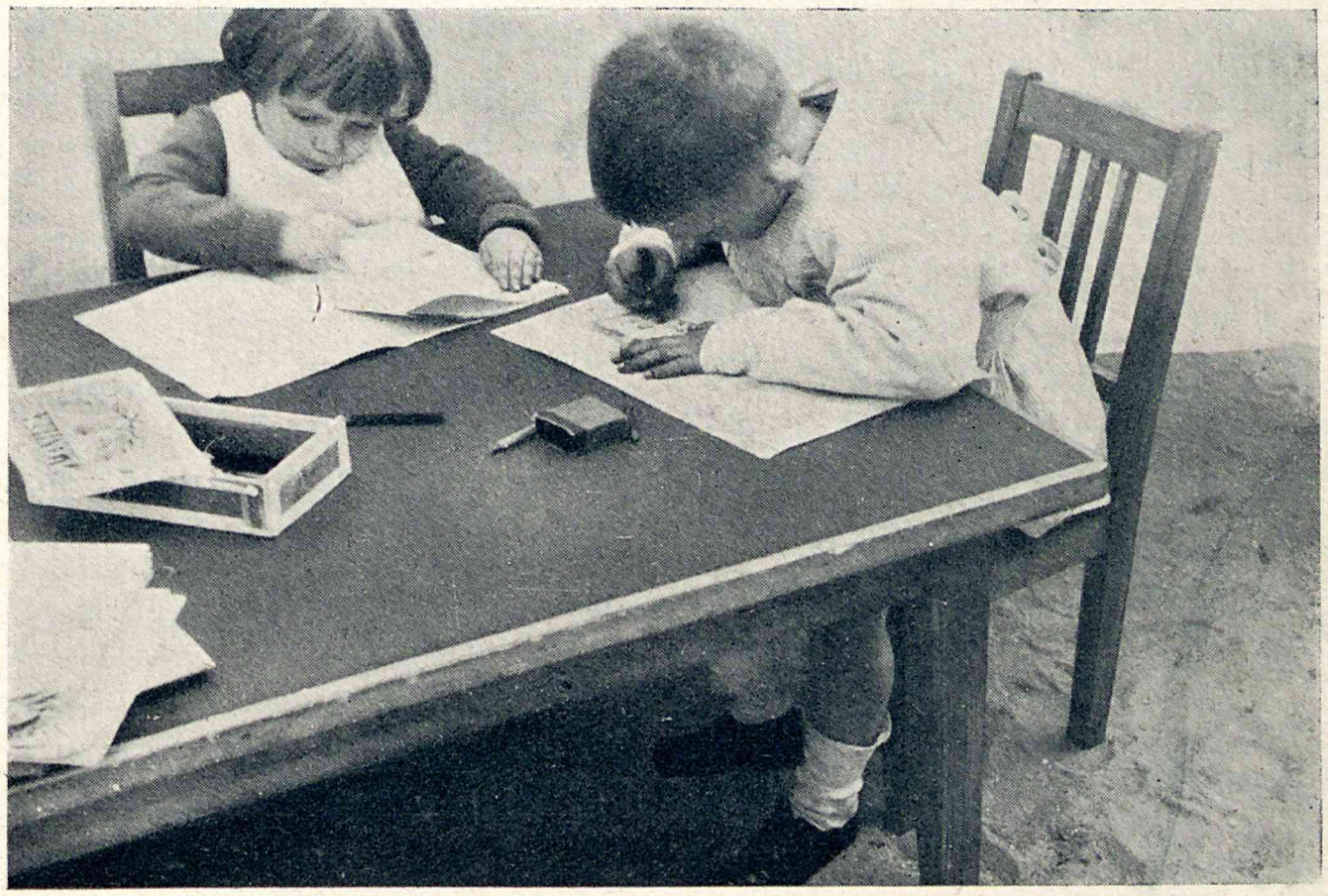

W żłobku na Kanonji — „Caritas" uczy

Centralna półkolonja „Caritasu" na Woli. — Zabawa najmłodszych na Saharze. — A czy jutro dostaną kubek mleka? Zależy to od ofiarności podczas „Tygodnia Miłosierdzia"

Świat teatru

Z B. TEATRÓW MIEJSKICH

Wystawiona w Teatrze Narodowym sztuka najznakomitszego współczesnego dramatopisarza polskiego, K. H. Rostworowskiego *„U mety"* stała się wielkim tryumfem artystycznym. Cała krytyka warszawska w słowach entuzjastycznych przyjęła to znakomite przedstawienie, wyreżyserowane z niezwykłą dynamiką efektu teatralnego przez Solskiego.

Najbliższą premjerą w Teatrze Narodowym będzie *„Zemsta"* Fredry, z racji 100-lecia wystawienia tego arcydzieła. Przedstawienie to zapowiada się jako wielka uroczystość artystyczna zarówno z powodu tej daty historycznej, jak i z racji uczczenia 30-lecia pracy najznakomitszego dziś na polskich scenach Fredrysty, Jerzego Leszczyńskiego. Sztuka otrzyma rewelacyjną obsadę: Rejenta zagra Węgrzyn, Cześnika — Leszczyński, Podstolinę — Ćwiklińska, Klarę — Lubieńska, Dyndalskiego — Solski, Papkina — Maszyński, Wacława — Roland — słowem, obsada nieosiągalna dziś na żadnej innej scenie polskiej.

Na scenie teatru Nowego odbywają się intensywne próby w reżyserji Węgierki z arcydzieła romantycznego „Nie igra się z miłością" Musseta w tłumaczeniu Boya Żeleńskiego z Malicką, Czaplińską, Węgierką, Stanisławskim, Boneckim, Łapińskim i in.

Najbliższą premjerą teatru Letniego, inaugurującą sezon, będzie komedja satyryczna „Szkoła genjuszów" Anatola Sterna, jednego z najciekawszych pisarzów młodego pokolenia.

Debjut sceniczny Sterna poświęcony jest światkowi naszych oficjalnych i pół-oficjalnych „genjuszów", który został ukazany przezeń we wklęsłem zwierciadle subtelnej satyry. Treścią sztuki są tragikomiczne dzieje zdeklasowanego inteligenta, który znalazł się na dnie życia, a który, dostawszy się przypadkiem w wir polityki, zostaje wyniesiony — wbrew swej woli — na szczyty.

Dyrekcja b. teatrów miejskich, pragnąc wyróżnić tę zapowiedź nowego talentu dramatopisarskiego, daje „Szkołę genjuszów" na otwarcie sezonu w teatrze Letnim. Dyr. Chaberski, reżyserujący komedję Sterna, obsadził ją tak świetnemi siłami, jak: Gellówna, Różycki, Wesołowski, Andrzejewska, Znicz, Kurnakowicz, Buszyński, Janusz i inni.

„Lato" Rittnera w Teatrze Małym

„Lato" należy wraz z „Don Juanem" i „Człowiekiem z budki suflera" do grupy t. zw. poetycznych utworów Rittnera w przeciwieństwie do wyraźnie naturalistycznych: „W małym domku", „Głupiego Jakuba" czy „Maszyny". Ta grupa poetycka w ostatnich latach twórczości wynaturzyła się w parabolizm „Ogrodu młodości" czy „Tragedji Eumenesa".

Jeżeli mówi się często, że „Lato" powstało w poetyckiem uniesieniu — to, w perspektywie ćwierćwiecza, należałoby skontrolować te pojęcia i tę genezę Rittnerowskiego dzieła. „Lato", nosząc niewątpliwie w swem łonie tęsknotę za bajką, za poetycką ułudą, — jest jednak poprostu — w dzisiejszem rozumieniu — dość naiwnie potraktowanym utworem realistycznym, z domieszką wyrozumowanych, dość konwencjonalnych elementów abstrakcji i t. zw. poetyczności. Poetyczność ta tkwi w pewnych wyrazach, w pewnych napomknieniach, w asocjacjach, nie w duchu i nie w klimacie utworu.

A przytem ta absolutnie objektywna i chemicznie odbarwiona z wszelkich pierwiastków wyraźności środowiska — atmosfera utworu, atmosfera nawskroś abstrakcyjna, kosmopolityczna, — świadczy o zmyśle chłodnej rachuby autorskiej, by nie lokalizować utworu na jasno zdefinjowanem terytorjum, by nie obdarzać ludzi cechami narodowemi, by nie wiązać ich z określonym typem psychicznym i specyficzną postawą życiową.

Te wszystkie refleksje przychodzą dziś tembardziej na myśl, gdy zestawi się Rittnera — jak to stało się już modą literacką — z Jerzym Szaniawskim, z którym ponoć wiąże go tyle pokrewieństw, co i zasadniczych i najgłębszych różnic.

Pierwiastek chorobliwie histeryczno-makabryczny, celowo przez Rittnera wprowadzony, inteligentnie był podkreślony w przedstawieniu teatru Małego przez reżysera Biegańskiego i głównych wykonawców, pp. Gorczyńską, Justjana, Leszczyńską, Broniszównę, Tatarkiewiczównę, Sulimę, Halską, Pośpiełowskiego i innych.

(Sz. Ski).

„Wróg Ludu" w Teatrze Kameralnym

Na inaugurację sezonu Karol Adwentowicz wystawił Ibsenowskiego „Wroga ludu", w którym znalazł, jak można było tego oczekiwać, doskonałą dla siebie rolę, wiadomo bowiem, z jaką przekonywującą siłą dynamiczną Adwentowicz rysuje bohaterów pokłóconych z otoczeniem, jak subtelnie wyczuwa konflikty wartościowej jednostki z przeważną i brutalną siłą zorganizowanej masy.

Ibsen i tym razem wymownie przeprowadza w oczach dzisiejszej publiczności swój problem walki silnej indywidualności ze skostniałą atmosferą środowiska, rewiduje z nieugiętą logiką szereg zasadniczych pojęć demokracji, na wąskim przykładzie demonstruje swe podstawowe tezy o groźnych konkluzjach powszechnej demokratyzacji.

Ta cecha nadaje „Wrogowi ludu" piętno i akcent niewątpliwej, niestarzejącej się aktualności, wydobył ją też bardzo inteligentnie i celowo a z umiarem młody, kulturalny reżyser i inscenizator dr. J. Bujański, zaś zespół teatru Kameralnego w osobach pp. Adwentowicza, Horeckiej, Niedźwieckiej, Piekarskiego, Kwiatkowskiego, Srebrzyckiego i innych umiejętnie podkreślił ów zasadniczy rytm utworu.

(Sz. Ski).

Z TEATRU POLSKIEGO

P. Nina Świerszczewska, jako Ludwika w „Sprawie Dantona" Przybyszewskiej

W kilku wierszach

Kiedrzyński na scenie łotewskiej

Łotewski „Teatr Narodowy" w Rydze otworzył w tych dniach sezon dramatyczny premjerą znanej komedji Stefana Kiedrzyńskiego *„Szczęście od jutra"*. Przedstawienie miało charakter uroczysty; obecny był prezydent republiki łotewskiej, poseł Rzplitej i korpus dyplomatyczny. Sztuka doznała bardzo życzliwego przyjęcia zarówno u publiczności, jak i krytyki.

Jubileusz, którego nie było...

Oczywiście znów — w Berlinie. Chodzi o słynny berliński „Deutsches Theater". Właśnie przed paru dniami przypadała pięćdziesiąta rocznica od dnia otwarcia tego świetnego i zasłużonego dla kultury świata całego — teatru. Ale jubileuszu obchodzić nie można było, bo już od paru miesięcy „Teatr Niemiecki" nie istnieje...

Nomen omen...

„Młodość, miłość i spółka" w teatrzyku warszawskim „Cyganerja"

Jarossy i Alesso

P. Lena Żelichowska, jako „Małgorzatka godna uwielbienia", i jej satelici

Kronika muzyczna

(m. k.) Pierwszy koncert symfoniczny nowego — 33-ego sezonu Filharmonji Warszawskiej przypominał dni splendora tej instytucji: nastrój uroczysty, „cała Warszawa" — ta dawna, trochę rozbita i przyćmiona przez losu koleje, ale w smokingach i dekoltach; fluid, idący z estrady; komunia artysty z publicznością. Trochę, może za dużo snobiarstwa, a za mało ukochania muzyki, ale zawsze-ć stosunek pełen szacunku do niej, wynikły po części z dobrego wychowania, — po części ze wspomnień dobrych lat.

W tej to atmosferze, trochę irytującej, acz miłej, zakwitł na chwilę piękny kwiat muzyki Pawła Kochańskiego.

Dawno nie słyszany wirtuoz, sympatycznie witany przez pełną znajomych salę, oczarował na nowo wszystkich swą maestrją — subtelną, delikatną, poetyczną, pozbawioną najlżejszej dozy efekciarstwa.

Grał, w pierwszem wykonaniu, koncert skrzypcowy Szymanowskiego, dzieło, zasługujące na bliższą analizę, trudną do zrobienia po jednem wysłuchaniu.

Koncert napisany w jednej części, z kadencją Kochańskiego. Partytura orkiestrowa, o rozmiarach tablic mojżeszowych i równie cennej zawartości, onieśmielała nietylko dyrygenta...

Wrażenie — solidności konstrukcji, wielkiej logiki, prostoty osiąganych efektów, a nadewszystko szczerości zamierzeń, górowało nad bezpośredniem odczuwaniem samego brzmienia.

Mimowoli nasuwało się porównanie z 1-ym koncertem, w którym stosunek powyższy był odwrócony.

Kochański był niezrównany w ujęciu koncepcji artystycznej. Nie mógł Szymanowski znaleźć lepszego interpretatora.

* * *

W przyszły piątek — koncert poświęcony twórczości Karola Szymanowskiego, z racji jego 50-ych urodzin. Miłośnicy i przyjaciele koryfeusza współczesnej muzyki polskiej będą mieli okazję usłyszenia ostatniej kompozycji: wyjątków z Litanji. P. Stanisława Korwin-Szymanowska, siostra solenizanta, śpiewać będzie „Pieśni Hafisa". W drugiej części — „Harnasie" będą wykonane w całości.

TEATR I KINO

Gdy pojawiły się pierwsze filmy dźwiękowe, podniesiono alarm, że teatrom grozi ostateczny upadek, że *talkies* zabiją teatry.

Już dobrych kilka lat minęło, filmy mówione udoskonaliły się, — mimo to teatry, którym czarnowidze od setek lat wciąż grożą śmiercią, utrzymują się jakoś przy życiu.

I raczej zdumiewać się należy, że filmy mówione znajdują tylu zwolenników, gdy między niemi jest tak mało utworów udatniejszych. Scenarjusze zwłaszcza przeważnie są tak niemądre, że najgorsza sztuka teatralna wydaje się wobec nich arcydziełem.

Weźmy np. ostatni obraz Chevalier'a, wyświetlany obecnie w „Światowidzie". Trudno sobie wyobrazić większą inepcję, jak fabułę tej „komedji". Brak jej sensu, jest ckliwa i nudna, i mimo wdzięku Chevalier'a i rozkosznego dzieciaka, dwugodzinny pokaz tego filmu jest próbą mocno ciężką. Talenty aktorskie nie mogą wystarczyć, jeśli nie opierają się na utworach wartościowych, — zarówno w teatrze, jak w kinie.

KSIĘŻNICZKA

Dlaczego pannę Irenę, skromną maszynistkę, nazywano wśród kolegów i koleżanek „księżniczką", tego nikt dokładnie nie wiedział. Bo ani jej pochodzenie, ani swobodne i bezpretensjonalne zachowanie nie wskazywało na powód, dla któregoby miała nosić to miano. Podobno któryś z urzędników wypadkowo podsłuchał rozmowę, jaką prowadziła panna Irena pierwszego dnia swej pracy w banku ze srogą i złośliwą kierowniczką sali maszyn.

Po skrupulatnem obejrzeniu panny Ireny od stóp do głów, kierowniczka zjadliwie zapytała: „Sądząc po pani rączkach, pani nigdzie jeszcze nie pracowała?"

„Już od lat pięciu jestem samodzielną korespondentką. Świadectwa moje znajdują się w dyrekcji — odpowiedziała nie zbita z tropu panna Irena. — Ręce zaś pielęgnuję stale kremem „Glicerjell" marki Antiba: temu tylko zawdzięczam, że nie są zniszczone!" — „To dziwne, pani ma rączki jak prawdziwa księżniczka, a praca przy maszynach niszczy i brudzi ręce".

Gdy wieść o tej rozmowie rozeszła się wśród koleżanek, a rączki panny Ireny pozostały nadal białe i delikatne, zapytana, chętnie ujawniła sekret swych ślicznych rączek: „Tylko Glicerjell marki Antiba, który już oddawna codziennie wcieram. Ręce nie pierzchną, skóra nie pęka, robi się gładka i delikatna. Glicerjell usuwa pozatem wszelkie zaczerwienienie rąk. Używajcie stale Glicerjellu, a będziecie miały równie piękne rączki" — zakończyła z uśmiechem „księżniczka".

F. D.

NARTY, POZIOMKI I RYDZE

ZAKOPANE WE WRZEŚNIU

Sezon letni w górach zupełnie się nie udał. Cały lipiec lało, sierpień — lało. „Zato wrzesień niezawodnie będzie piękny", mówili Zakopiańcy. — Ale nikt temu nie wierzył i już z końcem sierpnia pensjonaty świeciły pustkami.

Wybieraliśmy się i my do Warszawy, kiedy niespodzianie nadeszła depesza z Warszawy: „Jutro przyjeżdżamy, przygotuj wycieczkę".

— Co za nonsens — pomyślałam, — o pójściu w góry niema przecież mowy.

Okazało się jednak, że w górach nie jest się pewnym dnia ani godziny. Dzień ich przyjazdu zaczął się nieoczekiwanie pogodą. Chmury, do których widoku oko nawykło od tylu tygodni, znikły bez śladu, nad czarnym masywem regli ukazał się Giewont w bieli od stóp do głów. — To było tak pięknie, że wszyscy patrzyli, jak urzeczeni.

„Musiało się" iść w góry, i to zaraz.

Tego dnia całe Zakopane ruszyło na Halę. Śnieg zaczynał się już na Karczmisku, pokrywał ziemię kilkucentymetrową warstwą, przełęcze i szczyty były dokładnie białe. Mówiło się żartami o nartach, ale w tych warunkach byłoby to jeszcze dość trudne.

Pełni entuzjazmu i wiary w dobrą pogodę układaliśmy z przyjezdnymi efektowną trasę kilkudniowej wycieczki.

Ale już nad wieczorem zaczęło się robić niewyraźnie, a w nocy poprostu lało. Nazajutrz rano, źli i zgnębieni, postanowiliśmy wracać do Warszawy. Do pociągu wieczornego było jeszcze dużo czasu, włóczyliśmy się więc po „mieście". Zaszliśmy na stację meteorologiczną, zobaczyć barometr. Spadał. To nas nie zdziwiło: całe lato nie robił przecież nic innego. Nawet kiedy przypadkiem szedł w górę, nie braliśmy tego na serjo i wiedzieliśmy, że nazajutrz będzie napewno padał deszcz.

I wówczas, niewiadomo zupełnie dlaczego, gdyż horoskopy były jaknajgorsze, postanowiliśmy iść w góry, côute que côute. Składało się o tyle pomyślnie, że tegoż dnia ruszało do Pięciu Stawów kilku górali, pracujących przy budowie schroniska, mieliśmy więc zapewnioną pomoc na wypadek trudności lub oblodzenia, przed którem przestrzegano nas w Zakopanem.

Lał obfity deszcz, kiedy kupowaliśmy prowianty, lało również, gdy autobusem wyjeżdżaliśmy do Roztoki. Dopiero w miarę wznoszenia się szosy i równoczesnego spadku temperatury deszcz zamieniał się w śnieg. Przy wodospadach Mickiewicza panowała już zupełna zima, drzewa uginały się pod grubą okiścią. Zmierzchało już, gdy ruszyliśmy w górę.

Im wyżej, tem śniegu było więcej i tem zimniej. Od połowy drogi brnęło się po kolana, wyżej, przy Siklawie, było go już po pas, miejscami tworzył zaspy półtorametrowej wysokości.

Zapadła noc i drogę oświetlaliśmy latarką. Wiał wiatr i prószył drobny śnieg, nogi mdlały z wysiłku.

Moment wejścia do schroniska otwierał pasmo nowych wrażeń, które urastały do rozmiarów istotnych przeżyć: gorąca herbata, zdjęcie przemoczonego obuwia i zaśnieżonego ubrania, wyciągnięcie się na wygodnem łóżku w pobliżu rozpalonego pieca, a potem „coś dla duszy" — wspaniała, z niczem nieporównana muzyka góralska: dwie pary skrzypiec i basy. Wreszcie mocny, pokrzepiający sen.

Nie spaliśmy jednak długo, — to bowiem, cośmy zobaczyli, zerwawszy się z łóżek, przeszło nasze najśmielsze marzenia: na czystym błękicie jaśniało słońce; od ośnieżonych szczytów, odbijających się w lustrzanej tafli stawów, bił taki blask, że trzeba było przymykać powieki. Kosówka i kamienie znikły bez śladu pod grubą warstwą śniegu. Trudno było wymarzyć lepsze warunki narciarskie, zwłaszcza o tej porze roku. Że też nie wzięliśmy ze sobą nart! Na szczęście w schronisku znalazło się kilka par. Śnieg był z gatunku „wiosennych", — na

wrześniowy niema bowiem odpowiedniej terminologji — to też trzeba było deski grubo smarować parafiną. Ale zato potem niosło! Zjazd z pod Gładkiej przełęczy pełen był emocji, tak ze względu na trudności terenowe, jak i oślepiający blask słoneczny.

Wrześniowa zima nie trwała długo. W nocy zaczął wiać halny, nazajutrz była już odwilż. Schodziliśmy przez Roztokę, zrywając z krzaków maliny i wygrzebując z pod śniegu spóźnione poziomki. „Na dolinach" panowało lato. Kopano kartofle, zwożono siano. Wracając pieszo do Zakopanego, zatrzymaliśmy się, aby usmażyć zebrane w lesie rydze.

Ciężkie chmury kotłowały się teraz nad Tatrami. Górą wiał gorący, halny wiatr, śnieg topniał w oczach. Robił się porządek w naturze: przedwczesna zima ustępowała ciepłej jesieni.

Felicja Lilpop

PROCES PIM-a

PIM-owi zakazano przepowiadać pogodę. (Z gazet).

Śniło mi się, że po zawieszeniu PIM-a w czynnościach prokuratura wytoczyła mu proces z artykułu K. K., mówiącego o rozpowszechnianiu pogłosek, mogących wywołać niepokój publiczny, że odbyła się w sądzie rozprawa i że właśnie mnie PIM wybrał na swego obrońcę.

Po odczytaniu aktu oskarżenia (365 stron maszynowego pisma) przewodniczący zapytał się PIM-a, czy przyznaje się do winy, na co oskarżony z pogodnym uśmiechem odpowiedział:

— Nie.

Nastąpiło przesłuchanie świadków. Świadkowie oskarżenia zeznawali dosyć mglisto. Natomiast jasno i pogodnie wypadło świadectwo dane PIM-owi przez świadków obrony, którzy pomimo gradu pytań zadanych przez przewodniczącego wydali PIM-owi świadectwo niezmienności i stałości, co na obliczu prokuratora wywołało długotrwałe zachmurzenie.

Wreszcie postępowanie dowodowe zostało zamknięte i sąd udzielił głosu obrońcy, t. j. mnie.

Odchrząknąłem i dla swobody gestykulacji odrzuciłem w tył togę.

— Wysoki Trybunale! — zacząłem — podczas przerwy w niniejszej sprawie spotkałem się na kurytarzu z obecnym i przytomnym tu rzecznikiem interesu publicznego czyli, inaczej mówiąc, panem prokuratorem. Powiedział mi: „Źle się czuję, coś mi leży w żołądku". „A co, panie prokuratorze?" — zapytałem. — „Nie wiem" — odparł p. prokurator. A teraz pozwolę sobie zwrócić się do pana przewodniczącego z niedyskretnem pytaniem:

— Co pan przewodniczący ma dzisiaj w domu na obiad? Nie wie pan? Oczywiście, że pan nie wie. Zgóry byłem o tem przekonany. Więc pan prokurator może nie wiedzieć, co mu tkwi w jego własnym żołądku, więc pan przewodniczący może nie wiedzieć, co ma dzisiaj na obiad w domu, który oddalony jest od sądu o kilkanaście minut drogi, a od mego klijenta żąda się, żeby wiedział, co jutro będzie na słońcu, które oddalone jest od nas o miljony świetlnych lat?! Więc mój klijent ma wiedzieć, czy powiększą się, czy zmniejszą, czy wogóle znikną plamy na słońcu, które są głównym czynnikiem regulującym pogodę na ziemi. Jeżeli kto, Wysoki Trybunale, zawinił — to zawinił barometr. PIM tem zawinił, że ufał barometrowi. Azali tedy zamiast ręki będziecie karać ślepy miecz jakim był mój klijent?

— A teraz, Wysoki Trybunale, — ciągnąłem dalej — zastanówmy się, w jakim czasie żyjemy. Gdy zawiodły wszystkie teorje ekonomistów; gdy dzień w dzień, jak domki z kart, przewracają się aksjomaty naukowe; gdy przestano mieć zaufanie do samego zaufania; ba, gdy sam z pewnych najpewniejszy dolar zachwiał się i niewiadomo, co będzie wart nie jutro, lecz za godzinę — w takim to czasie panowie żądacie, żeby jeden tylko biuletyn PIM-a był nieomylny?

— Ale, Wysoki Trybunale, przypuśćmy nawet, że PIM. pomylił się i że zapowiedział mróz, a był upał lub naodwrót; albo że zapowiedział zachmurzenie i deszcze, a była piękna pogoda i niebo bez jednej chmurki, że w ten sposób rozpowszechniał nieprawdziwe pogłoski. To i w tym wypadku musimy mu dowieść, że skutkiem tych fałszywych wieści był niepokój publiczny. Śmiem twierdzić, że takiego niepokoju nie było. Taki niepokój mógł być dawniej. Pan prokurator naprz. budził się rano, sięgał po gazetę i czytał prognostyk na dzień dzisiejszy. W zależności od prognostyku pan prokurator kładł ubranie czarne lub popielate, brązowe w paski lub zielonkawe w kratkę, jasno szare lub ciemno granatowe, marynarkowe w kolorze marengo lub żakietowe albo surdut. Pan prokurator bowiem miał w szafie 12 garniturów i kamerdyner podawał mu odpowiedni do pogody garnitur. Dzisiaj pan prokurator nie ma kamerdynera, jedyny świecący garnitur nosi zimą i latem, w deszcz i w pogodę i jeżeli pan prokurator nie świeci tu na sali swym garniturem, to dlatego tylko, że nakryty jest abażurem togi, jak zresztą my wszyscy. Proszę o uniewinnienie mojego klijenta.

Nastąpiła mowa prokuratora, który dowodził, iż PIM., wprowadzając w błąd rolników, mógł wywołać klęskę urodzaju i nieobliczalne szkody dla Państwa oraz żądał surowego ukarania oskarżonego.

Gdy sąd udał się na naradę, ja tymczasem obudziłem się.

Co za głupi sen!

Wyjrzałem przez okno. Deszcz lał, jak z cebra, pomimo, że PIM. nic nie zapowiadał.

I kto śmie teraz powiedzieć, że PIM. zawinił?

Termidor

Już się ukazało:
J. DON LEVINE
STALIN
Mąż ze Stali
Jedyne w języku polskim dzieło o dyktatorze Rosji

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Ś. P. OSKAR SOBAŃSKI

Urodził się dn. 16 września 1877 r. w Zurychu. Straciwszy bardzo młodo ojca, był wychowywany przez matkę Natalję z Michałowskich, wnuczkę jenerała Księstwa warszawskiego. Szkolne swe lata spędził pod wpływem ojca Wacława Nowakowskiego, Kapucyna, powstańca 1863 roku, który przez długie lata wywierał wpływ na życie Małopolski Zachodniej. Po ukończeniu gimnazjum Św. Anny w Krakowie i Uniwersytetu w temże mieście, niezwłocznie po otrzymaniu dyplomu powraca na Podole i tam obejmuje rodzinny majątek Zwede-

Ś. p. Oskar Sobański

nówkę, w pow. Jampolskim. W bardzo młodym wieku poślubia Janinę Domaniewską, z którego to małżeństwa pozostało dziesięcioro dzieci.

Od młodości bierze czynny udział w życiu społecznem, — już na Uniwersytecie został powołany na stanowisko prezesa Kółka Rolników. Po zamieszkaniu na Podolu oddał się gorliwie działalności na niwie życia gospodarczego ziemiaństwa tamtejszego i w tej dziedzinie pracy piastował zaszczytne stanowiska, jak sędziego przysięgłego, członka ziemstwa gubernialnego, członka Zarządu Towarzystwa Rolniczego, przy którem powołał do życia sekcję gorzelniczą, i której był prezesem aż do chwili rozwiązania tej placówki — co nastąpiło po wybuchu rewolucji bolszewickiej.

Zmarły był stałym członkiem Komitetu Wystawy Rolniczej w Winnicy oraz podolskiego Syndykatu Rolniczego.

Po wybuchu wojny ś. p. Oskar Sobański, zostaje jednym z najczynniejszych członków Zarządu Polskiego Towarzystwa Pomocy ofiarom wojny w Kijowie, będąc jednocześnie prezesem i głównym dobrodziejem Tow Żłobków Dziecięcych. Po wybuchu rewolucji zostaje pierwszym skarbnikiem Zarządu Głównego Polskiej Macierzy Szkolnej w Kijowie i delegatem na Ogólny Zjazd Polski Ziem Ruskich. Zostaje też obrany członkiem, a potem vice-prezesem Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi oraz vice-prezesem Stronnictwa Pracy Narodowej. Z Jego inicjatywy powstała w Kijowie Centralna Organizacja Ziemiaństwa polskiego „Rada Ziemian", — w której Zmarły otrzymał mandat vice-prezesa. Zasługą wielką Zmarłego było założenie gimnazjum polskiego w Kijowie, które, dzięki powołanemu do życia przy jego czynnym udziale konsorcjum uzyskało siedzibę własną w nabytym wspaniałym gmachu, będącym własnością czarnosecinnego gimnazjum Stelmaszczenki.

Na polu życia gospodarczego ś. p. Oskar Sobański zaznaczył się między innemi stworzeniem wielkiego Zakładu hodowli nasion „Meridian", który podczas wojny dostarczał nasion buraczanych Stanom Zjednoczonym i Francji. Był prezesem zarządu i głównym właścicielem fabryki cukru Sitkowce, członkiem zarządu szeregu instytucji finansowych i przemysłowych oraz zarządzał interesami Karola Jaroszyńskiego na Ukrainie. Po wypędzeniu Niemców musi opuścić Kijów zajęty przez bolszewików, bierze czynny udział z bronią w ręku w odwrocie jenerała Żeligowskiego z pod Odessy. Po powrocie do Warszawy został mianowany podsekretarzem Stanu w Ministerjum Aprowizacji, którego przez pewien czas był kierownikiem, wywiązując się chlubnie z trudnych bardzo wówczas obowiązków, związanych z tem stanowiskiem. Po wojnie stanął na czele Tow. Transportu i Żeglugi „Polbal". Ideja polskiego portu i polskiej żeglugi handlowej była Mu bardzo drogą, brał energiczny udział w propagandzie portu Gdyni i dążył wszelkiemi siłami do szerzenia idei stworzenia polskiej floty handlowej. Prawie do końca życia był członkiem władz Ligi Morskiej i Kolonialnej oraz zarządu cukrowni Wożuczyn.

Ostatnio Zmarły był członkiem kontroli Magistratu. Obarczony nadmiarem koniecznej pracy zarobkowej po stratach, poniesionych podczas wojny i jej wyniku, musiał się usunąć od pracy społeczno-ideowej.

Zmarły odznaczał się prawością charakteru, głęboką religijnością i wielką skromnością — unikał też wszelkiego rozgłosu, pracując dla dobra Ojczyzny z pogodą serca i poczucia obowiązków obywatelskich.

Zamknął przedwcześnie — oczy, okrywając ciężką żałobą nietylko najbliższą rodzinę, lecz pozostawiając w szczerym żalu liczne koła przyjaciół i tych wszystkich, którym nie obce były zasługi, położone przez ś. p. Oskara Sobańskiego dla Ojczyzny i Narodu.

Cześć pamięci zasłużonego Obywatela kraju.

Prasa rumuńska w świetle statystyki

W Ameryce, nakładem Stanford University Press, ukazała się książka p. t. „Rumunja współczesna i jej problemy" pióra Józefa S. Roucek'a.

Dowiadujemy się z niej, że Rumunja wydaje ogółem 709 gazet, z tych: 112 w języku węgierskim, 72 — w niemieckim, 5 — w rosyjskim, 2 — w bułgarskim i 8 — w żydowskim. W samym Bukareszcie wychodzi 72 pisma w języku rumuńskim i 5 w językach obcych, pozatem ukazuje się 227 pism perjodycznych.

Autor uważa, że prasa rumuńska stoi na poziomie wyższym od prasy innych krajów bałkańskich.

zo.

Pożyteczna Placówka

(Uwadze pań domu)

Zima zbliża się szybkimi krokami i lada dzień jej zwiastuny, przejmujące chłody jesienne, poczną się dawać we znaki. Jakżeż wówczas miłym się stanie pobyt w mieszkaniu, w ciepłem mieszkaniu.

Sprawa zapewnienia tego ciepła w mieszkaniu nie jest bynajmniej tak prosta, jakby się to zdawać mogło. Niedość jest zaopatrzyć w dostateczną ilość węgla piwnicę domową, bo tu nie ilość, lecz jakość gra główną rolę.

Każda z pań domu orjentuje się jedynie w rodzaju węgla, jaki używa do opału, lecz nie w gatunku. Gatunek zaś gra rolę decydującą. Już nie mówiąc o tem, że w węglu, pochodzącym z pośledniejszych kopalni, znajduje się wiele bezwartościowego, gdyż niespalającego się, kamienia, sama wydajność ciepła jest o wiele niższa. Węgiel taki, do którego kupna zachęci tak zwana „niezwykła taniość", może się okazać w użyciu bardzo drogim, może narazić panią domu na wiele przykrości, których w tych czasach i tak jest nadmiar.

Gwarancję dobroci węgla dać może tylko firma, która ten węgiel dostarcza.

Taką firmą bezwzględnie odpowiedzialną są Miejskie Zakłady Opałowe w Warszawie, przy ulicy Kredytowej Nr. 2, tel. Nr. 636-81.

Nabywając węgiel w wielkich ilościach, bez pośrednictwa, wprost z pierwszorzędnych kopalni, Miejskie Zakłady Opałowe sprzedają wyłącznie węgiel najwyższej jakości. Nic więc dziwnego, że z usług tych zakładów korzystają wszystkie wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe, dla których gatunek węgla jest zagadnieniem najpoważniejszem.

Rozporządzając wielkimi składami, Miejskie Zakłady Opałowe są regulatorem cen węgla na rynku miejscowym, więc cena pobierana przez nie, jest istotnie najniższą rynkową.

Mając na celu przedewszystkiem zaopatrzenie ludności miasta w dobry i tani opał, Miejskie Zakłady Opałowe dostarczają węgiel w każdej ilości, we własnych wozach pod kontrolą oplombowanych, dając rekojmię nietylko gatunku lecz i ścisłej wagi.

Opierając kalkulację nie na osiągnięciu zysków, bo nie do tego są powołane, lecz na samowystarczalności, Miejskie Zakłady Opałowe są jedynem źródłem dla pań domu nabycia i zaopatrzenia się na zimę w węgiel dobry, wydajny i istotnie tani.

NIEZWYKŁY KWADRAT MAŁŻEŃSKI

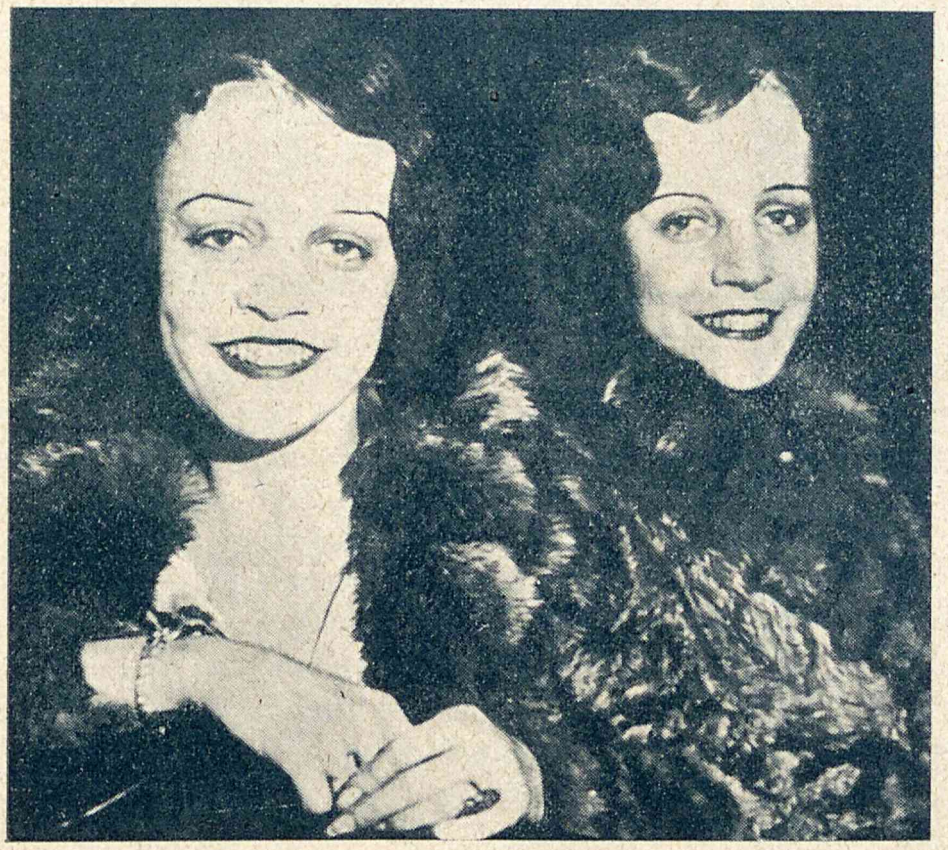

„Siostry siamskie" Daisy i Violet Hilton wychodzą zamąż: jedna za dyrygenta orkiestry tanecznej w Chicago, druga — za boksera angielskiego

Prenumeratorom, którzy w ciągu najbliższego tygodnia nie uiszczą prenumeraty za miesiąc październik wstrzymana będzie wysyłka pisma

Jen. Przedst. na Polskę D. H. Józef Hosiasson, Warszawa, Trębacka 4

KRONIKA RADJOWA

(m. k.) Komisarjat Poczt i Telegrafów ZSRR. ogłosił konkurs na projekt pałacu radjowego, jaki ma powstać niebawem w Moskwie. Osiem nagród w sumie rubli 38.000.— mają otrzymać najlepsze projekty, do których dopuszczani są architekci wszystkich krajów.

* * *

We Francji wprowadzona została dopiero teraz opłata za posiadanie odbiornika radiowego. W ten sposób nastąpiła rejestracja liczby radiosłuchaczy. Okazało się, że w samym Paryżu istnieje przeszło pół miljona odbiorców Jest to zupełnie nieoczekiwana cyfra, zmuszająca do rewizji dotychczasowych poglądów i statystyk.

NAJBLIŻSZY TYDZIEŃ:

Niedziela 15.X. godz. 17.15. Pieśni ludu śląskiego na chóry i głosowe solowe (Katowice).

Poniedziałek, 16.X. godz. 16.55. Zespół p. Ireny Dubiskiej wykona trio Mozarta i trio Brahmsa (W-wa).

Poniedziałek, 16.X. godz. 19.05. Audycja poświęcona 3 kompozytorom polskim: Ks. A. Radziwiłłowi, Ks. M. Ogińskiemu i Ks. J. M. Poniatowskiemu. Słowo wstępne wygłosi prof. S. Niewiadomski (W-wa).

Wtorek, 17.X. godz. 21.15. Pierwsza w Polsce audycja, poświęcona muzyce litewskiej. (W-wa).

Czwartek, 19.X. godz. 16.55. P. Irena Dubiska i prof. J. Turczyński wykonają sonaty: Mozarta F. i Saint-Saënsa — d (W-wa). Godz. 21.15. Arje z „Fidalio" Beethovena „Zamarłe miasto" — Korngolda, „Pieśni japońskie" Maklakiewicza i pieśni polskie ludowe w układzie F. Szopskiego, wykona W. Wermińska (Warszawa).

Piątek, 20.X. godz. 20.15. Transmisja koncertu symfonicznego z Filharmonji Warszawskiej z udziałem znakomitego skrzypka N. Milsteina. Odegra on koncert skrzypcowy Beethovena. Orkiestra pod kierunkiem p. W. Bierdjajewa wykona uwerturę „Leonora" Beethovena i symfonję Skrjabina

W sobotę, 21.X. godz. 16.55. Pierwszy koncert z cyklu „Muzyka kameralna różnych narodów" obejmować będzie kwartety czeskie: Dworzaka F i Smetany w wykonaniu Warszawskiego kwartetu smyczkowego. Godz. 21.20. P. Z. Dygat wykona dzieła Chopina, m. in. Sonatę C. (z marszem żałobnym).

Znakomity w smaku o przepięknym aromacie likier Curaçao - Orange firmy Haberbusch i Schiele wyrugował z wielu stołów likiery zagraniczne, droższe w trójnasób od krajowych. Przy bridge'u lub na większym zebraniu towarzyskiem w każdym polskim domu powinien doskonały ten likier stać na stole.

LEOPOLD WELTEN

ROMEO I JULJA

(NOWELA)

Julja nie była ani młoda, ani stara. Osiągnęła właśnie wiek, w którym kobiety objawiają niezaspokojony głód miłosny sceptycyzmem, zgryźliwością i determinacją. W tym właśnie okresie poznała Romea i bardzo wiele zmieniło się w życiu obojga. Romeo, bezdomny włóczęga, znalazł ciepłe i wygodne pomieszczenie, Julja zaś poddała się urokowi oderwania od ciążącej, długoletniej samotności. Romeo — to było oczywiście przezwisko, nadane przez Julję, która zapomniała wkrótce o właściwem imieniu przyjaciela, jego pochodzeniu i przeszłości.

Mieszkali na czwartem piętrze w pokoiku Julji, do którego wchodziło się bezpośrednio z sieni. Romeo siedział całemi dniami przy oknie i oczekiwał jej powrotu z biura. Julja wracała o piątej i przynosiła obiad dla Romea, a jej chude, ruchliwe palce, wprawione liczeniem blankietów i pieniędzy, błyskawicznie manipulowały nożem, gdy krajała mięso lub obierała kartofle.

Julja stołowała się na mieście, w kuchni dla inteligencji, mieszczącej się obok biura. Doniedawna pożądliwie chwytała spojrzenia stołujących się tam mężczyzn, przeważnie starszych urzędników, flegmatycznych panów w kołnierzach z guziczkami i sztywnych, trzeszczących mankietach. Ale w oczach urzędników znajdowała tylko wyraz tej nieukojonej tęsknoty za czemś bliskiem a nieosiągalnem, która od wielu lat trawiła ją samą.

Teraz pogardliwie odpowiadała wzrokiem na spojrzenia swych sąsiadów z jadłodajni. Spiesząc się zjadała dosyć wodnistą zupę, klops i kierowała się ku wyjściu. Po raz pierwszy od wielu lat poczuła się kobietą świadomą swej wartości i swoich celów. Kiedy wstawała od długiego stołu, za którym szeregiem siedzieli cisi panowie i nieśmiałe, niemodne damy — wiedziała, że patrzą na nią z ponad talerzy i że zazdroszczą jej tej możliwości — iż ma dokąd się śpieszyć. A czując na swych plecach wzrok ślimaków — jak ich nazywała w myśli — kręciła biodrami, krygowała się, a nawet często potrząsała kokieteryjnie głową.

W biurze, gdy liczyła zielone kwity z napisem „Kasa przyjmie" lub „Kasa wypłaci" i zapisywała niekończące się nigdy kolumny cyfr, myślała o swoim przyjacielu. Ciesząc się rzeczywistością pełną nieznanych dotychczas emocyj, powracała nieraz myślą do niedawnej przeszłości, aby wspomnieniem jej szarzyzny podkreślić jeszcze urok pożycia we dwoje. Przypominała sobie, jak niedawno te same kolumny cyfr przytłaczały ją swoją nieskończonością, a wydłużając się nieodmiennie — nasuwały porównanie z jej własnem, jednostajnem życiem. I wtedy stosy kartek, blankietów, list inkasowych i zielonych kwitów z napisem: „Kasa przyjmie" i „Kasa wypłaci" szarzały przed zmęczonemi oczami i rosły w górę potężnemi zwałami, jakby chciały lada chwila zasypać nędzną, nikomu niepotrzebną urzędniczkę. Julja często myślała sobie: „Niech zasypie, niech pochłonie... Może i lepiej... byłoby"...

Ale teraz nie poddawała się podobnym chwilom pesymizmu. Zbliżała się wiosna. Słońce grzało coraz cieplej... A w domu oczekiwał powrotu Julji wdzięczny przyjaciel. Niedługo będzie urlop... Wyjedzie się na wieś... Odpocznie się... A wszystko razem z nim... I Julja, patrząc na stosy zielonych kwitów z napisem: „Kasa przyjmie" i „Kasa wypłaci", widzi zielone pola, zielone drzewa, siebie w lekkiej zielonej sukni, a tuż obok — swego przyjaciela...

Po obiedzie Julja biegnie do domu. W małym pokoiku o bezbarwnych tapetach długo wita się z przyjacielem, obejmując go mocno drżącemi palcami i całując. Romeo jest posłuszny i flegmatyczny, jak starsi panowie z jadłodajni dla inteligencji; ale z jego oczu bije przejmujący dreszczem zachwytu wyraz pokonanego zwycięzcy. Podobną ekspresję widziała Julja kiedyś przed wielu laty, w końcowej scenie filmu „Lukrecja Borgia". Film ten zapamiętała na zawsze. Julja zatem długo patrzy w oczy przyjaciela, usiłuje odgadnąć, o czem w tej chwili myśli, ale tylko widzi w nich, niby w wypukłych soczewkach, swoją twarz, bardzo zmniejszoną.

Romeo jest łagodny, cichy i niewymagający. Lubi drzemać, oparłszy głowę na kolanach Julji, gdy zapada zmrok. Ukołysani ciszą trwają tak w bezruchu, aż zmęczy ich zbyt długotrwały bezwład. Julja, trzymając rękę na czarnej głowie Romea, myśli o tem, że chciałaby spędzić resztę życia w takiej oto błogiej pozycji — żeby się już nigdy nie martwić, nie wrócić już do biura, ani do jadłodajni, ani nawet na ulicę... Ale pomimo to często nie może się oprzeć potrzebie wyjścia na miasto. Na spacer nigdy nie wychodzi sama, ale zawsze z przyjacielem. Po ulicy chodzą w ten sposób, że przeważnie Julja kroczy przodem, za nią zaś, w odległości mniejwięcej pół kroku, podąża flegmatyczny Romeo. Prawdopodobnie Julja śpieszy się dlatego, że rozpiera ją duma. Czując bliskość Romea, spogląda z uczuciem wyższości na przechodzących obok niej ludzi; czuje pogardę zarówno dla mężczyzn, jak i dla kobiet.

Czasami Romeo ogląda się w tył i niespodzianie staje w miejscu. Julja czuje wtedy, że jej przyjaciela ciągnie coś całą mocą młodego ciała. W takich chwilach opanowuje ją zazdrość. Julja patrzy, przyśpiesza kroku. Wkrótce potem idą do domu. Julja rozumie, że natura posiada swoje prawa.

Znowu są w małym pokoiku o bez-

barwnych tapetach, których kolor dawno już starła Julja, czyszcząc ściany chlebem. Na stoliku, obok gipsowej statuetki Byrona o fryzurze zczerniałej dzięki nieprzerwanemu działaniu kurzu i brudnej szmatki, stoi w białej ramce pocztówka z podobizną Romea. Julja kładzie na serwetce mały, staroświecki zegarek, który nosi na przegubie, zdejmuje suknię, narzuca szlafrok i wyjmując grube, podwójne szpilki z warkocza, okręconego w tyle głowy, rozpuszcza włosy. Długo bawiąc się z przyjacielem, szepce mu do ucha pieszczotliwe słowa, aż zapomina o tem, kim jest, gdzie się znajduje, co czyni... Wydaje się jej, że jest piękną, ponętną i zaborczą kobietą, jak ta blondynka — na obrazku, którą tuli i całuje mężczyzna. W pewnej chwili Julja czuje, że wcieliła się w postać kobiety z obrazka, wiszącego nad łóżkiem, że niema żadnej różnicy pomiędzy nią a tamtą, że Romeo to właśnie ten mężczyzna. Ale krótko trwa stan upojenia. Oto kobieta i mężczyzna na obrazku rozpływają się, zamieniają się w bezkształtną plamę, a po chwili Julja znowu widzi obrazek, już wyraźny, ostry, ale zgoła obcy. I wtedy przypomina sobie, że jest brzydką, chudą urzędniczką, że jutro musi pójść do biura, że na obiad będzie jadła wodnistą zupę i klops, i że już nigdy nie zazna szczęścia.

Flegmatyczny, senny Romeo charcze, a oczy układają mu się w dwie szparki. Jeszcze chwila, a zaśnie. Julja odwraca się do ściany i zamyka oczy.

Zrana pryska cała niechęć dnia poprzedniego. Ubierając się pocichu, Julja spogląda na uśpionego przyjaciela i teraz czuje, że Romeo należy niepodzielnie do niej, że będzie dziś oczekiwał jej powrotu z biura, ucieszy się, gdy nareszcie przyjdzie, i tak samo będzie jej posłuszny jutro i pojutrze i zawsze...

W biurze, przy stoliku pokrytym zielonym kartonem, przepisując zielone kwity, Julja myśli o lecie. Jednak to dobrze, kiedy nie jest się samotną. Latem... na polu... w słońcu... będzie się bawiła w gonitwy, jak wówczas, kiedy była jeszcze uśmiechniętą małą dziewczynką. A potem znowu zima... Przy piecyku szamotowym usiądzie z nim, a on położy głowę na jej kolanach... Zawsze to dobrze we dwoje...

Julja przyzwyczaja się coraz bardziej do nowego trybu życia. W nowej rzeczywistości porusza się nieodmiennie i regularnie, jak wskazówka zegara. Codziennie teraz wychodzi z przyjacielem na spacer. Czasami wędrują całemi godzinami po ulicach, rozmawia z nim głośno, że aż oglądają się ludzie. Spacerują popołudniu, kiedy zachodzi słońce, w dnie pogodne i niepogody, w deszczowe wieczory, gdy oświetlone miasto przegląda się w lustrach mokrych asfaltowych jezdni.

Czasami Romeo przystaje i patrzy gdzieś tęsknie i coś go ciągnie całą siłą jego młodego ciała. Julja, czując ten impuls, prowadzi ociągającego się Romea do domu, po drodze przekonywa go o czemś, coś mu tłomaczy, kogoś klnie i czuje, jak wzbiera w niej zazdrość. Przechodnie patrzą wtedy ze zdziwieniem, niektórzy się nawet uśmiechają i idą dalej.

A Romeo ogląda się, podnosi łeb i szczeka.

Romeo jest przecież tylko terjerem, bezrozumnym psem.

OTYLI ŻYJĄ KRÓCEJ...

Ich serca. obłożone watą tłuszczu, pracują z wysiłkiem, wyczerpują się i odmawiają posłuszeństwa wcześniej.

Otyłość spowodowana jest złą przemianą meterji oraz zaburzeniem czynności gruczołów dokrewnych.

Tylko zioła Magistra Wolskiego „Degrosa" zawierają jod organiczny w postaci rośliny morskiej Yahanga. który wprowadzony do organizmu, pobudza gruczoł tarczowy do należytej pracy, powodując szybkie spalanie nadmiernego tłuszczu. Są one skutecznym środkiem przeciwko otyłości i nie wymagają specjalnej djety.

ZIOŁA ze znak. ochr. **„DEGROSA"**

do nabycia w aptekach, składach aptecznych lub w wytwórni:

Magister WOLSKI, Warszawa, Złota 14.

Objaśniające broszury wysyłamy bezpłatnie

Do nabycia we wszystkich aptekach.

WĄGRY rozszerzone pory, nadmiernie wydzielający się tłuszcz usuwa i leczy płyn **„OTELLO"**

LISZAJE egzemę, krosty, suchość skóry leczy najskuteczniej płyn **„ALTA"**

GABINET KOSMETYCZNY
W. KLIMECKIEGO
W-wa, Niecała 5, tel. 633-74
czynny od 10—19
UWAGA: na prowincję wysyłamy za zaliczeniem

Konkurs nieśności kur

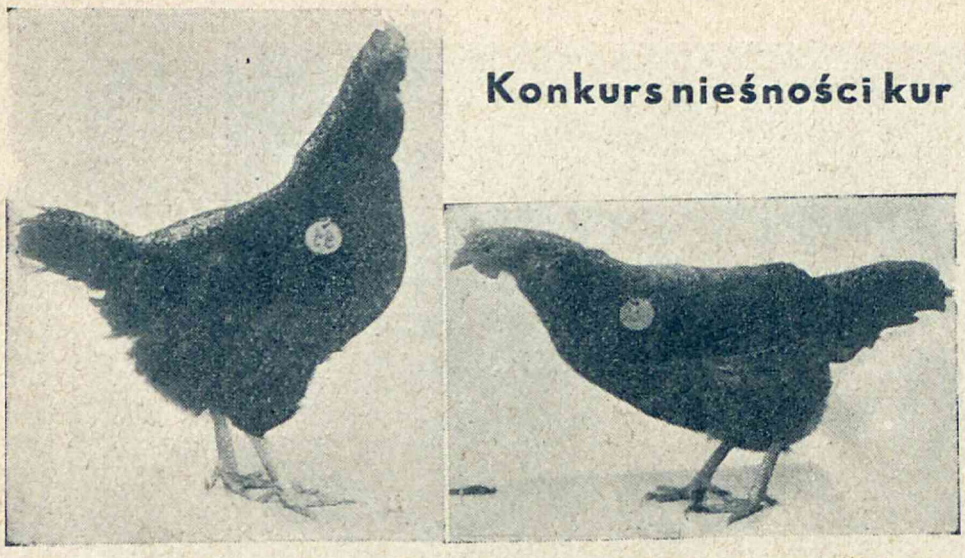

Centralny Komitet Hodowli drobiu w Polsce pod przewodnictwem p. Marjana Trybulskiego zorganizował ostatnio konkurs nieśności kur. Konkurs odbył się w zakładzie hodowlanym w Rębkowie pod Garwolinem i cieszył się znaczną frekwencją: zgłoszono 50 stadek kur z różnych stron kraju; najlepsze wyniki dały Rodajlendy, następnie Leghorny i wreszcie polskie Zielononóżki. Te trzy gatunki przeważały też na konkursie

FOSFATYNA FALIERA

IDEALNY POKARM DZIECKA

DA TWEMU DZIECKU SIŁĘ i ZDROWIE

WARSZAWA GRZYBOWSKA 88.

Piękne oczy i usta przez

Rimmel

PARIS LONDON

TUSZ DO RZĘS

JEDYNY WYODRĘBNIAJĄCY KAŻDĄ RZĘSĘ

OŁÓWEK DO BRWI · POMADKA DO UST

IXOL

daje paznokciom piękny połysk 1.25 zł.

ROSE-HENNA

idealny odbarwiacz włosów 7.50 zł.

ORIENT HENNA–SHAMPOO

farbuje włos przez zwykłe mycie. Pod gwarancją nieszkodliwy 1.75 zł.

MAJA

do trwałego farbowania brwi i rzęs 5.— zł.

Wszędzie do nabycia. Gdzie niema, proszę nadesłać gotówkę plus porto. Wysyłka odwrotna

FR. BOGACZ, Bydgoszcz, Dworcowa 14

DINOL PŁYN · I PROSZEK

OPATENTOWANE · NIEZAWODNE · ŚRODKI OD POTU

PŁYN PRZY · POCENIU · PACH i RĄK

PROSZEK PRZY · POCENIU · NÓG

USUWA POT i NIEMIŁY JEGO WOŃ

JUŻ PO PIERWSZEM JEGO UŻYCIU

Lab. Chem. „DINOL" Warszawa

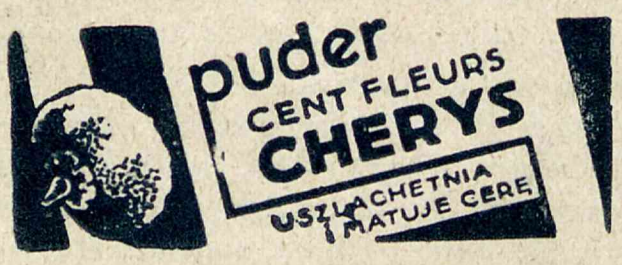

TEATRY MIEJSKIE W WARSZAWIE

TEATR NARODOWY

Sztuka w 4 akt. z epilogiem Karola H. Rostworowskiego

„U M E T Y"

w inscenizacji Ludwika Solskiego

H. Cieszkowska, J. Janecka, A. Żeliska, Solski, Węgrzyn, Dominiak, Hnydziński, Ziembiński i Znicz.

•

TEATR NOWY

„ŚWIT, DZIEŃ I NOC"

Czarująca komedja Niccodemiego w 3 akt.

Mistrzowski duet: Malicka—Węgierko

Ceny zniżone!

•

TEATR LETNI

Rekordowa komedja J. Deval'a

„S T E F E K"

M. Dulęba, M. Gella, St. Kawińska, J. Roland, Wł. Grabowski, Cz. Strzelecki, St. Łapiński

WARSZAWSKA WYTWÓRNIA TRYKOTAŻY

„Tricot"

MARSZAŁKOWSKA 129 · TEL. 42-83 i 94-33

HUMOR

FATALNE

— Felka już drugi tydzień nie widać...

— Może go zamknęli.

— E nie, komornik mu zajął wytrychy za obrotowy i nie może pracować.

(„Mucha")

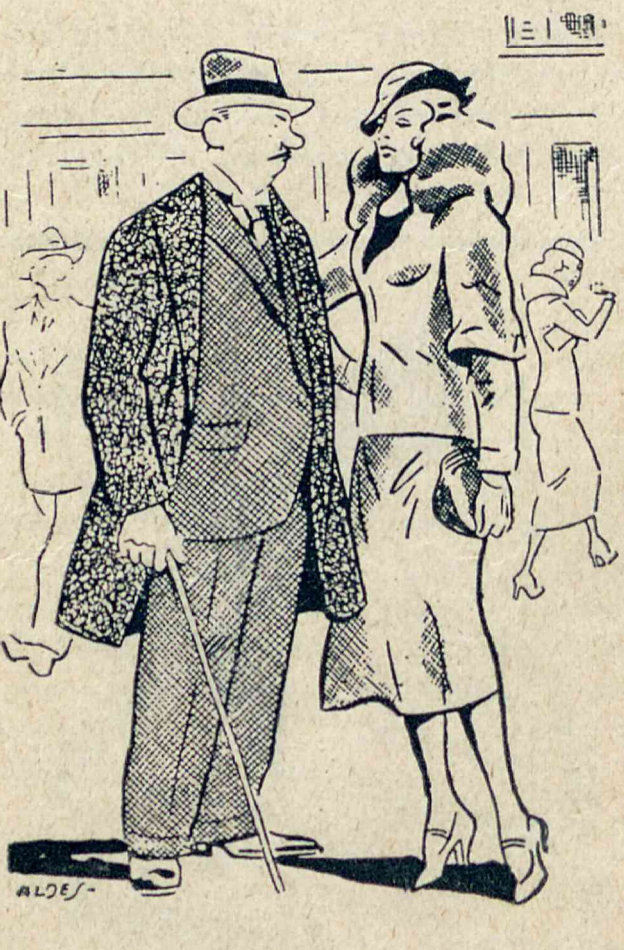

— Panu nie zimno?

— Proszę pani, ja sobie tylko pomyślę, ile mam do płacenia, i zaraz mi się robi gorąco.

Rozrywki Umysłowe

Nr. 162 (264)

REBUS

Ułożył L. Glaszmidt

(Za rozwiązanie 7 punktów)

№ 163 (265) Krzyżówka sylabowa

Ułożył Zenon Brenek

(Za rozwiązanie 7 punktów)

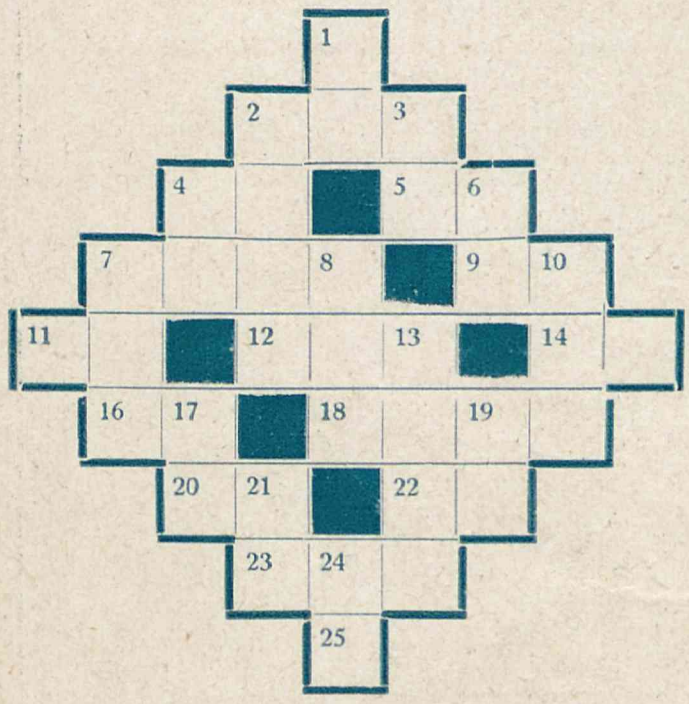

Znaczenie wyrazów poziomych: 1. Zaimek. 2. Skrót podpisu. 4. Gatunek gruszki. 5. Rak policzka. 7. Zła opinja wydana o kimś. 9. Grecka bogini młodości. 11. Przykrycie, pokrywa. 12. Stolica okręg. Banczi w Nigerji. 14. Miasto portowe na północy (i zamiast y). 16. Część zastawy. 18. Sekta mahometańska, częściowo przyjmująca koran. 20. Gwarowa nazwa kobiety. 22. Zdrobniałe imię żeńskie. 23. Kapłani, którzy pilnowali Zeusa, gdy był niemowlęciem. 25. Wykrzyknik.

Znaczenie wyrazów pionowych: 1. Pięcioksiąg. 2. Choroba umysłowa. 3. Miasto nad Adrjatykiem w prow. Pesaro e Urbine. 4. Miara papieru. 6. Port i posiadłość fran. na wyb. Malabarskim. 7. Rodzaj tkaniny. 8. Order Serbski. 10. Góry w Lombardji. 11. Lit. fon. 13. Dynastja Mameluków w Egipcie od 1254—1390 r. 17. Bogaty góral (wspak). 19. Ubijana, gnieciona. 21. Miasto na Kaukazie. 24. Prawy dopływ rzeki Po.

Rozwiązanie zadań

№ 154 (256). ZADANIE LITERACKIE.

1. Wyspa smutku. 2. Zaklęte usta. 3. Carpea i Roma. 4. Bosman Finta. 5. Ojcowie nasi. 6. Nasza szkapa. 7. O kawał ziemi. 8. Laguna morta. 9. Wojna wojnie. 10. Krzyż pański. 11. Siostry Cleo. 12. Usta o zmroku. 13. Czarny chleb. 14. Lusia Burlak. 15. Czarny adept. 16. Jan Kiszocki. 17. Chata za wsią. 18. Dzieje Utana. 19. Na prowincji. 20. Silny Samson. 21. Wściekłe psy. 22. Właściciele — „Stanisław Przybyszewski".

№ 155 (257). LOGOGRYF.

1. Komarów. 2. Jojakim. 3. Pionowy. 4. Lipnica. 5. Packard. 6. Rubanek. 7. Opasina. 8. Osowate. 9. Animato. 10. Wyginak. 11. Apanare. 12. Roszada. 13. Paszkot. 14. Drapacz. 15. Kanapka. 16. Akalefy. 17. Macierz. 18. Gadames. 19. Nunatak. 20. Awatara. 21. Matryca. — „Marja Konopnicka: Banasiowa, Imagina, Nasza szkapa, Na palecie, Damnata, Tatry".

Trafne rozwiązania nadesłali:

№ 154 (256). (Za rozwiązanie 15 punktów). N. K. Kozłowski. M. Sowiński. Z. Tietz. Marja Strubel. Jawna Kowalska. Dorota Herbstmanówna. Zenon Brenek. L. Glaszmidt. Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin). Kaz. Lilpop. Fr. Wiśniewski. Henryk Walewski (Lwów). Ola Borman. Janina Rowińska. Karol Waldenberg (Łódź). Stanisław Tański. Cecylja Lewandowska. Tadeusz Noskowski. Wiktor Sawicki. Jerzy Halski. Bolesław Nowak. Zofja Górska. Tadeusz Ritter. Henryk Ostrowski. Jan Kowalski. Gertruda Wolska. Feliks Siedlecki (Poznań). Tadeusz Pomianowski. Wiktor Rawicz. Antonina Solecka. Józef Zbyszewski (Kraków). Ksawery Faliński. Helena Millerowa (Kraków). Jan Rudziński (Kalisz). Baśka Żulińska (Częstochowa), Józef Małecki, Władysław Stock (Pińsk). Zofja Suchecka (Radom). Jan Popławski.

№ 155 (257). (Za rozwiązanie 7 punktów). Fr. Wiśniewski. Kazimierz Lilpop. L. Glaszmidt. Zenon Brenek. Dorota Herbstmanówna. Jawna Kowalska. Marja Strubel. Z. Tietz. M. Sowiński. N. K. Kozłowski. Jan Popławski. Zofja Suchecka (Radom). Władysław Stock (Pińsk). Józef Małecki. Baśka Żulińska (Częstochowa). Jan Rudziński (Kalisz). Helena Millerowa (Kraków). Ksaw. Faliński. J. Zbyszewski (Kraków). Ant. Solecka. Wiktor Rawicz. Tadeusz Pomianowski. Feliks Siedlecki (Poznań). Gertruda Wolska. Jan Kowalski. Henryk Ostrowski. Tadeusz Ritter. Zofja Górska. Bolesław Nowak. Jerzy Halski. Wiktor Sawicki. Tadeusz Noskowski. Cecylja Lewandowska. Stanisław Tański. Karol Waldenberg (Łódź). Janina Rowińska. Ola Borman. Henryk Walewski (Lwów).

NAGRODY OTRZYMALI:

Józef Małecki (Warszawa) — książkę.
Baśka Żulińska (Częstochowa) — książkę.

KUPON ZNIŻKOWY Nr. 86

DO TEATRU NARODOWEGO, NOWEGO I LETNIEGO

W WARSZAWIE

ważny od 13 do 19 października r.b. włącznie, z wyjątkiem niedziel, sobót, świąt, dni przedświątecznych i premjer.

Niniejszy kupon tygodnika „ŚWIAT" uprawnia do nabycia w kasie jednego z powyższych teatrów, o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia od godziny 6-ej po południu biletu dla jednej osoby ze zniżką. Jedna osoba ma prawo nabywać nie więcej, jak cztery miejsca ulgowe jednorazowo. Przy cenach popularnych zniżka 50% oblicza się od cen normalnych.

50%

Nowości sezonowe
JEDWABIE - WEŁNY
materjały na ubiory męskie

KONOPKA i REDULSKI
Warszawa · Marszałkowska 130

L. WŁODARCZYK -

Redaktor St. Krzywoszewski. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA K. U. L.

P